

LIST DO PRZYJACIOŁ

W PULI
KREW
NA ARENIE

przekład
piękny
i wierny

ODGŁOSY



ROK XIX, NR 35 (977)

26 SIERPNIĄ 1976 r.

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KULISY

CYRK



GOSPODARKA

BOGDA MADEJ

PRZEPROWADZKA

Najpierw miałam kłopoty ze złapaniem dyrektora Jana Sokala. Albo był na naradzie, albo gdzieś „na produkcji”, albo... Gdy wreszcie udało mi się usłyszeć w słuchawce telefonicznej: — Słucham, Sokal — najpierw bardzo się ucieszyłam, a później powiedziałam: — Chciałabym zobaczyć się z panem.

— Z przyjemnością. Kiedy pani przyjdzie?

Umówiliśmy się więc na określony dzień i godzinę, i dla pełnej jasności zapytałam jeszcze:

— Czy mam jechać do pana jeszcze na ulicę Sienkiewicza, czy może już na Milionową?

— Na Sienkiewicza, na Sienkiewicza — powiedział Jan Sokal. — Na Milionowej jeszcze nie będziemy tak szybko. Pani pewnie w sprawie przeprowadzki?

Istotnie, interesowała mnie przeprowadzka. Dla każdej rodziny, jako tako już zasiedziały, przeprowadzka to domowe trzęsienie ziemi, kłopot, dezorganizacja, chaos, bałagan i urwanie głowy. Coż dopiero dla fabryki, która przecież, niezależnie od przenosin, musi funkcjonować normalnie, wywiązywać się z umów, dostarczać towary, zaopatrywać rynek, wykonywać plany. Jak więc takie „trzęsienie ziemi” wygląda w fabryce? Tu przecież nie wystarczy spakować manatki, załadować meble na samochód i przewieźć je do nowego mieszkania.

Trwa w Łodzi proces przeprowadzki przemysłu. Wiele fabryk zmieniło już lokalizację, przeniosło się do dzielnic przemysłowych: na Dąbrowę, do Nowych Sądów lub na Teofilów. Jednak dla wielu z nich nie były to tylko przenosiny, gdyż w nowym miejscu powstały zupełnie nowe przedsiębiorstwa, inaczej wyposażone, z innym parkiem maszynowym, z nową technologią, dające wyższą, lepszą i bardziej nowoczesną produkcję. Przykładem może być choćby „Dywilan”. A nie jest to jedyny przykład.

Z popularnym „Próchnikiem” — czyli Zakładami Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika — sprawa była trochę inna. Powie-działabym — bardziej typowa. „Próchnik” nie przenosił się do dziel-nicy przemysłowej. Pozostawał nadal prawie w śródmieściu, trochę jednak od centrum Łodzi miał być oddalony.

Było to o tyle możliwe, że jest to fabryka dla otoczenia nieszkodliwa, a przy tym mająca liczne kontakty zagraniczne, więc i raczej gdzieś „pod ręką” pożądana. Dlatego też otrzymał „Próchnik” lokalizację bar-dzo dobrą, przy ulicy Milionowej, tuż przy ulicy Promińskiego.

W fabryce z miejsca zapytałam: — Dlaczego nie jesteście już na ulicy Milionowej?

Dyrektor Sokal nawet się ucieszył: — Pewnie oglądała pani program telewizyjny „Wszystko za wszystko” i słyszała, jak jeden z dyrektorów przedsiębiorstw, budującego nam no-we pomieszczenia, zobowiązał się wo-bec całego kraju, że wszystko będzie gotowe pod koniec maja.

Był akurat początek sierpnia. — Ale nie z tego nie wyszło — kontynuował Jan Sokal. — Mamy teraz nowy termin, 30 listopada 1976 roku.

— I co? — Trzeba być optymistą. Ale mimo całego optymizmu muszę też brać pod uwagę i taką możliwość, że i ten termin nie będzie dotrzymany.

Przeprowadzka „Próchnika” ma trochę inny charakter. Będzie to niewątpliwie nowa fabryka, ale tech-nika i technologia zmieni się niewie-le. Park maszynowy został zmoderni-zowany w latach 1973—1974, więc do nowego lokalu przeniesie się „stare” maszyny. Uzupełnią je nowsze, spro-wadzone z USA, Italii, RFN. Załoga wykorzystała już po części urlopy, ale każdy zostawił sobie tydzień



Dalszy ciąg rfa str. 5

MAM POMYSŁ, CZYLI RZECZ O ULEPSZANIU

Interesująca „gra w inteligencję” jaka jest niewątpliwie program „XYZ” gości na ekranach telewizorów już dość długo. Jest to program zarówno w pomysłach jak i realizacji nader ciekawy, więc zapewne niebawem zostanie zlikwidowany, albo w najlepszym razie przekształcony. A ponieważ gorzej jest wrogiem lepsze — więc chyba na gorzej.

Do takiej pesymistycznej prognozy skłaniają mnie losy wielu ciekawych programów, które zaczynały pięknie, a potem „ulepszano” je pakując w zbiorokratyzowane ramki.

Przykładem świetna audycja red. Roberta „Mam pomysły”. Przez całe miesiące prezentowano tu wynalazców-hobbystów, którzy przedstawiali swoje pomysły ulepszeń, wynalazków i usprawnień — od prostych i banalnych aż po autentycznie nowatorskie rozwiązania.

Ala przecież nie nie może się dzieć „na żywioł” — więc postanowiono program zinstytucjonalizować. W efekcie z autentycznej parady pasjonatów i wynalazców zrobiono reklamówkę, w której zakłady pracy przedstawiały z urzędu swoje kluby racjonalizatorów. Nie twierdząc, że w owych klubach nie dzieje się nie ciekawego, ale zwracając uwagę na reprezentację firm odebrało audycję spontaniczności i autentyczności.

Ponieważ program „XYZ” rozwija nam się bardzo pięknie, podejmuję się gdzieś tam, w trzęsieniu mózgu, klejcie myśli, aby go na jakiś trzeci miesiąc bogatszym. Dziś grono ludzi (publicysta, pisarz, krytyk, psycholog) próbuje rozszerzyć na podstawie skąpych danych i nieco zakamuflowanych danych postać ika — bohatera programu. Żeby audycję zinstytucjonalizować, potrzebny jest prosty zabieg. Niech bohaterem programu nie będzie jakiś tam reżyser, pisarz czy aktor lecz na przykład

„Zremb”, „Bumar” czy „Cekop”. Ostatnio bohaterem „XYZ” był Jerzy Putrament. Jest to — niezależnie od twórczego dorobku — po prostu barwna, znakomita gwiazdka i ciekawy polemista. Ponieważ w pierwszej części programu bez trudu rozszyfrowałem Jerzego Putramenta (co było dziecinie łatwe, bo przecież dysponujemy pamiętnikiem pisarza „Pół wieku”) — z zainteresowaniem czekałem na część drugą — spotkanie z samym Putramentem. Niestety — trochę się rozczarowałem, Jerzy Putrament — świetny gwiazdka prowadzący zazwyczaj potoczny wykład — wyrażał niechęć do telewizji. Coś jakby ugrzywał w pół zdania, jednych wątków nie kończył — inne zaczynał jakby od środka... Widać montaż był nieszczerliwy.

W tym tygodniu zaczyna się serial piosenkarski — ostatni już tego roku maraton festiwalowy. Telewizja przygotowała na piątek, sobotę i niedzielę pięć transmisji. Najciekawszy z wykładów koncert „Dzień Polski” emitowany będzie w czwartek — w godzinach popołudniowych, a nie wieczorem. Będzie to ponadto najkrótsza transmisja. Na koncert płytowy przeznaczają telewizja z godziny programu — na koncert laureatów prawie 2,5 godziny. Na koncert „Dzień Polski” — półtorę godzin. Jako wieloletni sprawozdawca z Festiwalu Sopotki, wiem, że „Dzień Polski” — jeśli nawet nie był artystycznie koncertem najciekawszym — budził zawsze największe zainteresowanie wśród masowej publiczności. Po prostu — dawał możliwość konfrontacji znanymi polskimi przebojami z wykonaniem w innych interpretacjach, co zawsze jest rzeczą ciekawą. Szkoda więc, że telewizyjny trumf mógł zlekceważyć tę sprawę.

TELEMAN

DOM

W reportażu „Dom” red. Tadeusza Szewca opisuje „Wolbórkę” — miejsce, w którym Wł. St. Reymont spędzał lata młodości i pisał pierwsze swe utwory m.in. „Komediantkę” i „Fermisany”.

Pragnęłabym uzupełnić ten reportaż i sprostować nieścisłości — podając w kolejności układu treści reportażu.

1. Kamień pamiątkowy w miejscu starego domu został ufundowany ze składek społecznych i na skutek starań społecznych wsielonej w sąsiedztwie z Wolbórka wsi: Prażek, Zamościa, Teodorowa i Będkowa. Uroczyste „odświeżenie” tego pomnika miało miejsce 22 października 1967 r. roku 100-lecia urodzin Reymonta. Odświeżenie dokonał ówczesny kurator okręgu szkolnego łódzkiego mgr Jerzy Wachnik w obecności władz powiatu brzezińskiego i gminy Będków, oraz licznych zebrań mieszkańców tego terenu oraz rodziny.

Godną podkreślenia jest obecność na tej uroczystości rodziny Wachników — w szczególności Wł. St. Reymonta, Dziad kuratora mgr. Jerzego Wachnika — Józef Wachnik był zaprzyjaźniony z Reymontem i został z imieniem i nazwiskiem uwieczniony w „Chłopcu”. Jak również „Wachnik” jako ród. W imieniu rodu Wachników została przy kamieniu złożona wiązanka z napisem na szarfie — „Wielkiemu Pisarzowi — Chłopi z „Chłopcu”. Poza rodem Wachników w „Chłopcu” występują także rody: Balcerków, Sochów, Plachtów i inne, które do dziś zamieszkują okolice Wolbórki.

2. Omyłkowo podano imiona szwagra Pisarza, zamiast Edmunda Munkiewicza winno być — Józef Munkiewicz, oraz zamiast Jan

Waldau winno być — Felician Waldau.

Józef Munkiewicz był długoletnim pracownikiem kolejowym na różnych szczeblach nadzorczych na odcinku Piotrków — Rokiemy. W owym czasie wybudowano drewniane budynki stacyjne w Wolbórze (obecna nazwa stacji — Czarnocin) i w Moszczynie. Budynki te o szczególnej ornamentacji istnieją do dziś. Przed pierwszą wojną światową były podobno przesyłane jako wzorcowe — przez matkę Pisarza. Wymienione w reportażu jako stacja została uznana jako zabytek przyrody w latach powojennych i była zabezpieczona cementem i kłami. Plomby te uległy jednak zniszczeniu. Obecnie Straż Ochrony Przyrody z Łodzi zainteresowała się jej stanem i jest nadzieja na ponowną konserwację.

3. Starych drzew w otoczeniu domu wolbórkowskiego jest dużo. Wierzyby na dawnej grobli były sadzone przez Józefa Reymonta ojca Pisarza, a tobole przy drodze — przez matkę Pisarza. Wymienione w reportażu stare drzewa zostały uznane jako zabytek przyrody w latach powojennych i była zabezpieczona cementem i kłami. Plomby te uległy jednak zniszczeniu. Obecnie Straż Ochrony Przyrody z Łodzi zainteresowała się jej stanem i jest nadzieja na ponowną konserwację.

4. Zjazd rodziny na Wolbórkę w 1910 roku wymieniony w reportażu dotyczył uroczystości chrzczenia córki Katarzyny i Konstantego Jakimowicza, lecz ich wnuczek, a córki Konstantego Sylwina i Stanisławy Jakimowiczów — Marii. 5. Do gorących ośrodków sprawy Wolbórki, to jest upamiętnienia związku tych okolic z życiem i twórczością Reymonta, należą nie tylko złocone rodziny, ale i np. p. Stanisław Wachnik em. nauczyciel zamieszkały w

Łodzi, oraz Piotr Szychowski nauczyciel liceum z Tomaszowa Maz.

Znaczenie Wolbórki w życiu i twórczości Reymonta znane było także szerszym kręgom osób, świadczą o tym wykład, jaki przeprowadził bodaj w latach pięćdziesiątych red. Kazimierz Zygromski z Łodzi z p. Franciszkiem Wachnikiem ówczesnym wójtą gm. Będków i ze mną, i który to wykład był podany przez rozkłosnie łódzka.

Cała nasza rodzina miała i ma wielki sentyment do Wolbórki. Po śmierci siostry Reymonta i likwidacji ich mieszkań zostawały na Wolbórkę przekazywane znajdujące się u nich uprzednio różne pamiątki z domu rodzinnego Reymontów oraz nierzadko (wskutek zniszczeń wojennych) książki z dedykacjami pisarza i kartki pisane jego ręką.

Bardzo niepokoi mnie los powierzonej mi w celu pozostawienia ich na Wolbórkę kilkunastu kartek napisanych przez Reymonta do siostry Wacławy Waldau (po jej śmierci w 1949 r.). Kartki te zostały ode mnie wypozyczone, były robione z nich odpisy bodaj dla „Ossolineum”, treść tych kartek jest umieszczona w „Listach do rodziny” Reymonta, ale do Wolbórki nie wróciły i nie wiem co się z nimi dzieje.

6. Nie wiem na jakiej podstawie przekazane zostały p. Szewce domniemane moje plany, cytuję: „Zofia Zaleska projektuje oddanie swojej części domu takiej instytucji, która zależałaby się remontem i jednocześnie zapoczątkowała zbieraniem przez nią pamiątkami”.

Nigdy nie projektowałam i na razie nie projektuję oddania swej części domu jakiegokolwiek instytucji o czym informowałam naj-

bliższą rodzinę. W części tej są cztery izby, które są potrzebne do użytku mojego i mojej, często odwiedzającej Wolbórkę rodziny. Jest to zbyt małe pomieszczenie do równoczesnego mieszczącego się instytucji i osób postronnych. Przypisywanie mi intencji oddania domu instytucji w celu przeprowadzenia przez nią remontu jest również niegodne z prawda, gdyż jak dotąd znajduje się w sytuacji materialnej, która nie wymaga zasięgu z funduszy społecznych. Zebrane w jednym z pokoiów pamiątki są otoczone opieką i dostępną zwiadażającym.

Planuję moje są inne. Chcę nawiązać przekazanie wydziału część arcytu na budowanie ośrodka pracy twórczej dla literatów lub innych twórców, którzy mieliby patronat nad Wolbórką i co umożliwiłoby uamienienie jej na dalsze odziedziczenie. W tej sprawie poczyniłam już pewne kroki.

7. Odnosnie nazwy „Wolbórka” należy wyjaśnić, że faktycznie nazwa taka ma rzeka, dopływ Pilicy, oraz miała taką nazwę stacja kolejowa (obecnie „Czarnocin”). Dom znajduje się administracyjnie we wsi Prażki km. Będków, Nazwa hipoteczna — „Ośada młynska Jakubów”. Wśród rodziny utrzyma się jednak wyrażenie, że przebywa się lub wychodzi się „do Wolbórki”. W Wolbórkę działo się to lub tamto, i tak już pozostało, że miejscem rodzinnym jest Wolbórka. I tak oznaczał Pilsarz miejsce napisania swych utworów, lub w listach zapisywał, co się dzieje na Wolbórkę, czy też donosił, że zapisał się u ojca na Wolbórkę.

8. Chciałabym jeszcze sprostować kolejność imion Reymonta. Zmieniając nazwisko z Reymonta na Reymonta zmienił także kolejność swych imion ze „Stanisław, Władysław” na „Władysław, Stanisław”. W rodzinie zawsze był Stanisławem, „wujem Stasiem”.

Przeżyłając najbliższemu moim zdanem uzupełnienia i sprostowania do reportażu pt. „Dom” uprzedzam prozę o podanie ich w druk w Waszym tygodniku.

Z poważaniem
Zofia Zaleska

WSPOMNIENIA

KONSTANTY STECKI — senior

NOMEN OMEN

Pewien mój znajomy nosił nazwisko Potęga. Mieczysław Potęga. Przyznaje państwo, że nazwisko takie zobowiązuje. Bo i imię mówi o sławie, i nie wypada wszędzie być na przykład mizerakiem komuś, kto się nazywa Potęga. Ale w danym wypadku ani imię, ani nazwisko nie zawiodły. Nie uprzedzając jednak wypadków.

Poznałem go jako ucznia swego, gdy w latach 1921-1925 wykładalem w Zakopanem na kursach uniwersyteckich dla nauczycieli szkół powszechnych i średnich. Kursy zorganizował z ramienia Związku Nauczycielstwa Polskiego dr Rowid. Wykładalem o florze Tatr i z tego tytułu odbywałem ze słuchaczami wycieczki w teren. Podczas jednej z takich wypraw — na Czerwone Wierchy i Giewont — wynikło wśród uczestników nieporozumienie, które oparło się o mnie jako kierownika wycieczki. Oto zapalony florysta nie chciał wrócić z rzadkiego okazu rośliny kwiecistej, którą go znalazła, twierdząc, że u niego okaz ten będzie troszkę zachowany w zieleni, gdy w rękach koleżanki na pewno zniszczy. Zwrócono się do mnie, bym rozsądził spór. W takich oryginalnych okolicznościach poznałem pana Potęgę, bo jego to oskarżała koleżanka o przywłaszczenie rośliny. Podczas trwania kursu stwierdziłem następnie wielokrotnie jego wybitne zainteresowanie przyrodą i niecodzienną zdolność i wytrwałość. Nawiasem mówiąc, wyglądał bardzo skromnie. Mówił mało, urodę miał przeciętną, postać nieco pochyloną, w wyrazie twarzy tylko i zaciętych ustach wyczuć można było upór i wolę. Po roku przyjechał na zakopiańskie kursy wakacyjne po raz wtóry. Powitałem go już jako dobrego znajomego.

Któregoś soboty przyszedł do mnie pan Potęga z prośbą o pożyczanie latarki, gdyż pragnąłby

udać się na poszukiwanie szkieletu niedźwiedzia jaskiniowego do Grotu Magury. Wiedziałem już uprzednio, że pan Potęga jako nauczyciel przyrody w szkole powszechnej w Łodzi przy ul. Pira-mowicza przygotowuje dla uczniów szkolnego szkieletu ssaków, ptaków, żab, gadów i ryb. Obecnie pragnąłby zestawzić dla Muzeum Przyrodniczego w Łodzi, szkielet niedźwiedzia jaskiniowego.

Znałem jego łódzką pracownię i uważałem ją za interesującą próbę rozwiązania trudności dydaktycznych przy nauczaniu przyrody. W Łodzi było w owym czasie ponad dwadzieścia szkół podstawowych państwowych i fabrycznych. Zadaniem pracowni było przygotować na określony dzień czy na kilka dni z rzędu lekcję przyrody na pewien temat, z użyciem pomocy naukowych w postaci kompletu okazów i przyrządów dla 25 par dzieci (bo zwykle klasy liczyły do pięćdziesięciu uczniów). Wizytowałem np. lekcję o wapień, do której przygotowanych było 25 kawałków jurańskiej skały wapiennej, 25 okazów skamieniałości amonitów i belemnitów, tyleż kawałków tynku ze starego muru, 25 kawałków wapna palonego, 25 waniek z wodą do gaszenia wapna, tyleż butelek z kwasem solnym do reakcji z wapieniem, tyleż próbek marmuru i kredy i wreszcie kawałki granitu i barytu dla reakcji negatywnej z kwasem solnym. Podobnie na lekcję o cieple przygotowane w tych samych ilościach termometry, palniki i pierścienie z kulką metalową, przechodzącą przez nie i nie przechodzącą po rozgrzaniu itp. Pracownia była wykorzystywana przez młodzież od 8 rano do 6 po południu, przy czym z urządzeń korzystała coraz to inna szkoła. Metoda ta okazała się tak praktyczna, że po Łodzi także Kraków i inne miasta Polski próbowały urządzić u siebie podobne pracownie.

Funkcjonowała łódzka pracownia sprawnie dzięki entuzjazmowi paru zapalonych pedagogów — przyrodników, a kierownikiem jej był właśnie nasz Potęga. On to majstrował przyrządy fizyczne, zbierał kamienie i preparował szkielety zwierząt. Raz nawet zapalił się do zestawienia szkieletu ludzkiego. Wszedł w porozumienie z jakimś lekarzem szpitalnym, który wydał mu w tym celu zwłoki i preparował je w wannie. Omal ponoć nie skończyło się interwencją władz sanitarnych.

Gdy pan Potęga zgłosił się do mnie po latarkę, próbowałem ostudzić jego zapale wyjaśniając, że już od kilku lat rozmaici przyrodnicy, zoologzy i geolodzy zbierają kości dla Muzeum Tatrzańskiego i że mimo posiadania paru skrzyń znalazł się nie można skompletować szkieletu niedźwiedzia jaskiniowego, gdyż kości, zwłaszcza płaskie, przeważnie są polamane. Nie zniechęciło to naszego zapaleńca. Wziął latarkę i poszedł.

Minęła niedziela. W poniedziałek, gdyż siedział na wykład na kursy, odczyty mi nie słuchacze alarmując, że stał się wypadek: kamienie przyniósł Potęgę w Grotcie Magury i obecnie leży on w internacie kursowym. Pobiegłem czym prędzej odwiedzić go i przekonać się o istotnym stanie delikwenta. Zastaliśmy go w łóżku. Kolega pomagał zbierać i pakować jego rzeczy.

Potęga opowiedział mi szczegółowy wypadku. Do grotu udał się w pojedynkę. Miejsce, w którym znajdowały się kości, zasypało było gruzowiskiem glazów i kamieni. Zaczął więc kopać i wybierał kości. Zdołał wykopać już głęboką jamę, ponad którą leżał spory blok kamienny. Przyswiewał sobie latarkę, siedząc na dnem jamy. Schyliwszy się i wsunawszy pod ów blok wyciągał spod niego kamienie i dalsze kości. W pewnym momencie usłyszał jakiś szmer czy zgrzyt. Praca w takich warunkach, w grotcie, w samotności, przy słabym świetle latarki, gdy dalsze części grotu toną w ciemnościach, gdy w martwej ciszy stychały tylko szelest kapla-czy ze sklepienia kropli wody, powoduje silne napięcie narządów podświadomości tajemniczości sceny. Pracując się wtedy zrywami i z pośpiechem.

Szmer, który zaniepokoił naszego samotnika, okazał się głosem spod glazu, podniósł się z dna jamy i natychmiast, co spowodowało ów niepokojący odgłos. Przypuszczał, że zbliża się ktoś w ciemnościach ku niemu. Instynktowne wyjęcie głowy spod glazu i wysunięcie się z jamy uratowały mu życie. Szmer ów bowiem był zwiastunem obuwania się podkopanego bloku kamiennego, który w tym momencie zsunął się i przyniósł mu ogromnym ciężarem nogi.

Z dojmującego bólu zemdlał. Gdy po pewnej chwili oprzytomniał, zaczął potwornie krzyżeć. Szalony ból w przynięconych nogach i unieruchomienie pod glazem wywołały odruchową, zwierzęcą wprost reakcję schwytanego w kamieniu potrzeb człowieka. Po chwili zorientował się, że krzyk jego jest bezcelowy. Może zgniecionie nogi zczyłoby dźwiękiem i ból trochę się ułmiał, dość że Potęga przestał szarpać się z bólu i krzyżać, natomiast próbował zdjąć sobie sprawę ze swego położenia. Nogę spod glazu wyciągnął nie mógł. Przez głowę przebiegały błyskawicznie szalone myśli. Zignorował ból z głodu i zimna, w samotności i zapomnieniu. Odciać nogę, jak ów niewolnik rzymski i wydobyć się z potrzasku! Sytuację ratowała trochę latarka, bo choć zsuwający się blok naciskał i strząsał jej ścianki, lecz blask zbiorniczek z oliwą został nienaruszony i niktły płomyk na tyle rozświetlał ciemność, że pozwalał na orientację w najbliższym otoczeniu.

Blok kamienny zgłolił mu nogi, a co gorzej zwiślał ponad nim i stwarzał śmiertelne niebezpieczeństwo dalszego osunięcia się. Nieszczerliwy człowiek zaczął w desperacji podpytać kamieniami ów blok, by dalej się nie zsuwał. Chwytając dokoła kamienie, wreszcie go wyrzucił spod siebie. Poczuł luz pod ciałem i to nasunęło mu zbawczą myśl: wyciągnąć kamień spod nogi i uwalnić się w ten sposób od glazu. Szarpał się w gorączkowej pracy. W koszu na łokciach, powydzieriał dziury, polamał paznokcie u rąk. Parę godzin trwała ta mordercza walka ze skałą. Wreszcie po długich wysiłkach zdołał się uwalnić. Nogi były zupełnie bezwładne. Wypchnął na rękach ku wejściu do grotu. Zostawił w jaskini marynarkę, pugilares z pięciopalcem, dokumenty, wszystkie swoje grofca i przybory, które koledy odnalazł i przyniósł nazajutrz.

Znalazłszy się na świetle dziennym zaczął wołać ratunku. Juhasi pasący owce usłyszeli go i znieśli na dno doliny ku ścieżkom turystycznym. Tam przechodzący jakiś turysta, docent lwowskiego uniwersytetu, którego nazwiska w popłochu, bólu i przerażeniu Potęga nie zdołał zapamiętać, wziął go na plecy i zaniósł do Kuźnicy. Stąd dorozką dostał się do internatu.

Wezwany lekarz klimatyczny obejrzał okaleczone nogi i orzekł, że pacjent nie powinien tracić czasu w Zakopanem, lecz natychmiast powrócić do domu. W ten sposób mniej więcej zreferowałem mi swoje przejście zapalony ożukiwacz kości niedźwiedzia. Zapytałem go, co zamierza obecnie uczynić w tej sytuacji.

— Wobec tego — oświadczył Potęga — pakuję rzeczy i jadę do Łodzi.

— No, a jak się pan czuje i co z nogami? — zainteresowałem się. — Uratowały mi nogi grube, skórzane sztylpy wojskowe. Niech je pan zobaczy. Obejrzałem owe sztylpy. Skóra na pół centymetra grubą wyglądała jakby wyszła spodziły trybów jakiejś maszyny — tak udołu była powyginana i powyciskana.

— Bój się pan Boga! — zawołałem. — A czy kości panu nie popękały? Co mówił lekarz?

Pan Potęga roześmiał się. — Doktor nie o tym nie mówił. Zgadzał tylko parę razy, wyciągnął usta w ryjek i rzekł: „No cóż? Po co pan przyjechał do Zakopanego? Żeby chodźcie po górach. No to pan teraz nie będzie chodźcie po górach”. Fu!

Tu pan Potęga pokazał mi swoje opuchłe i posiniaczone nogi. Zwiłaszcza jedna wyglądała w kostce okropnie. Nie miałem wielkiego zaufania do umiejętności lekarza klimatycznego, który był świetnym brzydystą, pościągającym milej rozrywek wiecie czasu, był również zapalonym sportowcem-pstragalicą, ale do zawodu lekarskiego odnosił się z wielkim stoicyzmem. Zacząłem więc gorąco namawiać chorego, by udał się do chirurga, doktora Nowotnego, doskonałego specjalisty i znawcy tego rodzaju uszkodzeń.

Potęga wzdragał się, sądził, że jeden lekarz wystarczy, obawiał się nadmiernych i — jak sądził — zbędnych kosztów. Przestraszony jednak widokiem jego nogi, nie dalem za wygraną. Poszedłem do doktora Nowotnego, przedstawiłem mu stan pacjenta i jego skromne możliwości finansowe i prosiłem o opiekę. Doktor bardzo serdecznie zajął się pacjentem, natychmiast bezinteresownie przybył do internatu, obejrzał nogi i stwierdziwszy pęknięcia kości, orzekł, że trzeba natychmiast nałożyć opatrunki gipsowe, bo w przeciwnym razie nastąpi nieprawdopodobne zrosnięcie się kości i wyniknie kalectwo na całe życie.

Zabrał więc zaraz pacjenta do szpitala, gdzie nasz bohater miał sposobność przeżyć parę tygodni rozpamiętywać trudności zdobycia szkieletu niedźwiedzia jaskiniowego w Grotcie Magury. Ze szpitala, jeszcze o kulach, wyjechał do Łodzi.

Wszystko to działo się w lipcu. Jakież było moje zdziwienie, gdy w końcu września tegoż roku otworzyły się drzwi do mojego pokoju w Zakopanem i zobaczyłem wchodzącego pana Potęgę.

— Witam pana! Co tam z nogami i co pan tu robi znowu w Zakopanem? — zawołałem zaskoczony nieoczekiwaną wizytą.

— Już wszystko dobrze, nogi zdrowe. Przyjechałem po braku-żące kości niedźwiedzia.

I rzeczywiście. Po tygodniu pracy w Grotcie Magury, przy pomocy jeszcze drugiego, równie zapalonego przyrodnika, Potęga uzyskał dostateczny komplet części szkieletu. Do dziś dnia w Muzeum Przyrodniczym w Łodzi stoi szkielet niedźwiedzia jaskiniowego zestawiony z kości wydobytch przez pana Potęgę w tak niecodziennych okolicznościach.

I czy w odniesieniu do tego nazwiska nie jest słuszne przysłówie, że nomen omen?

W latach późniejszych nie stykałem się już osobście z Mieczysławem Potęgą. Wiadomo mi natomiast, iż stopniowo upartą pracą i systematycznymi badaniami osiągnął duże rezultaty dydaktyczne, naukowe i uzyskał wybitniejszą pozycję społeczną. Po zorganizowaniu Międzynarodowej Pracowni Przyrodniczej prof. Potęga był kierownikiem założonego przez siebie w Łodzi Ogrodu Botanicznego w parku Żródliska, gdzie początkowo prowadzono ćwiczenia botaniczne dla uczniów szkół średnich i powszechnych i gdzie dobor roślin dostosowany do programów nauczania. Prof. Potęga był także inicjatorem Muzeum Przyrodniczego w Łodzi i wieloletnim jego kustoszem. Był założycielem w 1916 r. Towarzystwa Przyrodniczego w tym mieście, a także inicjatorem i redaktorem miesięcznika „Czasopismo Przyrodnicze” oraz kwartalnika przeznaczanego dla młodzieży „Młody Przyjaciel Przyrody”, które to czasopisma ukazywały się regularnie do września 1939 r.

Po wojnie Mieczysław Potęga zorganizował Zarząd Główny Ligi Ochrony Przyrody z siedzibą w Łodzi, przeniesioną po kilku latach do Warszawy. Został wówczas wojewódzkim konserwatorem przyrody, wielokrotnie interweniującym w sprawach zabezpieczenia od zniszczenia cennych zabytków przyrodniczych, jak niektóre parki podworskie, rzadkie drzewa, osłabłe i piękne Niebieskie Żródła pod Tomaszowem Mazowieckim oraz bezcenne dla nauki grot w Weżach pod Działoszym nad Wartą, bogate w kości kopalnych zwierząt przedglacjalnych — słoni, małp, zębr, antylop z ciepłego okresu przedlodowcowego.

Oublikiował także wiele artykułów i rozprawek popularnonaukowych z zakresu ochrony przyrody w wielu specjalistycznych czasopiśmiech.

(Konstanty Stecki — Senior, „Wspomnienia zakopiańskie”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, Str. 59-67.

ODCŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

PRZEKŁAD PIĘKNY I WIERNY

Z kierownikiem Zakładu Literatury Rosyjskiej Uniwersytetu Łódzkiego, dr ZYGMUNTEM GROSBARTEM rozmawia Roman Gorzelski.

— Teoria przekładu — rzecz to niezwykle rzadka nie tylko u nas — od wielu lat Pan się zajmuje. Na ten temat także pisał Pan pracę doktorską. Czy była to sprawa przypadku czy też wcześniej sprecyzowanego zainteresowania?

— Zagadnienie przekładu zainteresowało mnie jeszcze w odległej przeszłości. Dotyczyło to pewnych pieśni, które znałem śpiewane po rosyjsku i po polsku. Zwróciłem więc uwagę na to, że przekłady nie były adekwatne w stosunku do oryginału. I tutaj właśnie zetknąłem się z problemem: jeżeli piękny, to niewierny. Ale dotyczyło to tylko konkretnych pieśni, a wiadomo, że pieśń jest o wiele trudniej przełożyć niż wiersz czy prozę. O ile sobie przypominam, jedna z tych pieśni po polsku zaczynała się tak:

Spozza wyspy, co na straży,
Zza wzbudzonych Wołgi fal,
Wypływają w dal bezbrzeżną
Stienki Razin (?) łodzie w dal.

A teraz dla porównania ten sam fragment w języku rosyjskim:

Iz-za ostrowa na strieżeni,
Na prostor riecznyj wołny,
Wypływajut raspijsnyj
Stienki Razina czelny.

Wiedziałem, że rosyjski wyraz „strieżeni” nie ma nic wspólnego z polską „strażą”. Nie mówiąc już o innych mankamentach przekładu polskiego tej rosyjskiej pieśni. Próbowałem sam pomocować się z tekstem rosyjskim, ale mój przekład polski wypadł jeszcze gorzej niż ten krytykowany.

Doszedł do tego jeszcze sprawa akcentacji, sprawa rymów męskich... Dopiero po latach pracy nad teorią i praktyką przekładu mogłem się przekonać na czym polegała cała trudność przekładu, zwłaszcza piosenki. W latach wczesnej młodości przypadkowo trafiłem na przekład wiersza Heinego dokonany przez Lermontowa pt. „Sosna”. Wiersz Lermontowa jest piękny, jednakże fakt, że tłumacz zmienił gramatyczny rodzaj wyrazu „Ein Fichtenbaum” z męskiego na żeński („sosna”), zupełnie zmienia główną myśl utworu. A więc — przekład okazał się piękny, chociaż nie wierny... Potem miałem okazję zetknąć się z wieloma przykładami tłumaczeń brzydkich i niewiernych ale także z przykładami tłumaczeń pięknych i niemal dosłownych: wiernych.

— Wydaje mi się jednak, że nawet genialni poeci nie zawsze mogą sobie poradzić z tekstem oryginału. Stąd odstępstwa oraz czasem nawet bardzo dowolne potraktowanie tłumaczonego utworu. Wylania się więc zagadnienie: jak należy traktować utwór literacki, naturalnie w kon-

tekście teorii i praktyki przekładu.

— Traktowanie tłumaczonego utworu jako uniwersalnego systemu stylistycznego stanowi poważną zdobycz sztuki przekładowej. W myśl tej zasady nieprzetłumaczalne mogą być poszczególne fragmenty (elementy) utworu, jednakże całość można odtworzyć. W wypadku naruszenia tej zasady zrodziłyby się wątpliwości, czy tłumaczenie dzieł literackich zwłaszcza poezji, jest w ogóle możliwe.

— Po tak obszernym wstępie może spróbuje Pan odpowiedzieć na szalenie proste, a jednocześnie bardzo trudne pytanie: na czym polega sztuka tłumaczenia?

— Jest to na pewno twórczość artystyczna, jeżeli chodzi o literaturę piękna i próby jej spolszczenia... Tłumacz w tym przypadku dąży do tego, aby przekazać nie tylko obiektywną informację zawartą w oryginale lecz również jego oddziaływanie estetyczne. Czasem trzeba odejść od oryginału, aby się do niego zbliżyć, czy odtworzenie oddziaływania estetycznego — zawartego np. w sferze prozodii, wersyfikacji, rytmu, instrumentacji wiersza, w stylu autora — bywa nawet ważniejsze niż dokładne oddanie treści.

— Wobec tego nasuwa się pytanie: kto może być dobrym tłumaczem? Pomijam zagadnienie przekładów literatury technicznej i naukowej.

— Na to pytanie odpowiedzieć jest niezwykle trudno. Spróbuję to jednak zrobić w paru zdaniach: tłumacz literatury pięknej jest jednocześnie twórcą i odtwórcą — jak aktor lub muzyk-wirtuoz — musi wykazać rzadką sztukę bycia swobodnym w okowach narzuconych mu przez oryginał. Jeśli nie będzie swobodnym — nie wzbogaci swej literatury ożyście nowym dziełem sztuki. Jeśli rozzerwie okowy — przestanie być tłumaczem...

— Teoria przekładu: kto się nią zajmuje?

— Niemal każdy, kto zna jako tako co najmniej jeden język obcy. Dlatego też jest niezwykle wiele wypowiedzi mało wartościowych lub wręcz bezwartościowych. Oprócz tego do dziś istnieją pewne wątpliwości co do tego czy możliwe jest stworzenie teorii przekładu. To jednak nie przeszkadza istnieniu w wielu krajach świata bardzo prężnych grup naukowych ludzi pracujących w dziedzinie — nazwijmy to tak — nauki o tłumaczeniu. Naukowcy ci zajmują się teorią przekładu w sposób poważny i efektywny. Znaczenie naukowe teorii przekładu polega m.in. na tym, że zajmuje się ona zjawiskami wynikającymi z konfrontacji przynajmniej dwóch różnych języków etnicznych, dwóch tradycji kulturowych: czyni to w sposób stały i systematyczny. Oczywiście nie

należy zapominać o tym, że ma ona także za zadanie nieść pomoc tłumaczom w ich ciężkiej i szlachetnej pracy oraz wykształcić kadrę krytyków przekładu artystycznego. Jak wiemy jest to obecnie (nie tylko u nas) najsłabsza gałąź naszej krytyki literackiej. W Polsce teorię przekładu zajmuje się niewiele osób. To, że jest nas mało pasjonujących się tą dziedziną nauki — nie jest sprawą najważniejszą. Niepokoi mnie tylko fakt, że jesteśmy rozproszeni i grupę stanowimy jedynie teoretycznie. Nie zawsze znamy (nawzajem) swoje prace, swe osiągnięcia. Spotykamy się sporadycznie. Wydaje mi się, że przydałby się jakiś ogólnokrajowy ośrodek koordynujący te prace, integrujący je.

— Jak widzę z tego, z teorią przekładu nie jest u nas najlepiej. A jak wygląda praktyka przekładania literatury?

— Jeśli chodzi o przekładanie literatury naukowej i technicznej, w dziedzinie tej pracuje jeszcze wiele ludzi niekompetentnych. Ale powoli zaczyna się u nas walczyć z tym zjawiskiem: tłumaczy bez przygotowania odpowiedniego kieruje się do Studium Przekładowego Instytutu Lingwistyk Stosowanych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracy jest tu sporo, bo zapotrzebowanie na tłumaczy wzrasta w sposób lawinowy. A teraz sprawa dużo trudniejszego tłumaczenia, sprawa przekładu literatury pięknej. Jest rzeczą oczywistą, że tłumacz takiej literatury — poezji, prozy — powinien mieć pewne istotne cechy pisarza czy poety. Tak więc tłumacz literatury pięknej jest pisarzem, poetą — nawet jeśli — co bywa rzadko — nie pisze utworów tzw. oryginalnych, własnych.

Zrozumiałe, że w takiej sytuacji tłumacza prozaicy, poeci: literaci. Oprócz tego praktyką translatorską zajmują się teoretycy przekładu. Może dlatego, że nauka o tłumaczeniu jest jedną z najmłodszych dyscyplin filologicznych i nie wyodrębniła jeszcze potężnej kadry „czystych” teoretyków. A może dlatego, że praca tłumacza, która tradycyjnie — i słusznie! — nazywa się sztuką, zawiera również elementy myślenia naukowego.

— Jak więc wygląda sprawa nauczania uniwersyteckiego o sztuce tłumaczenia?

— W Instytucie Filologii Rosyjskiej UE istnieje specjalizacja „Teoria przekładu” — obok trzech innych „Język”, „Literatura”, „Metodyka”. W chwili obecnej teoria tłumaczenia sensu stricto zajmuje naszym studentom tygodniowo dwie godziny zajęć oraz dwie godziny seminarium magisterskich. W przyszłości przewidujemy poszerzenie zajęć „translatorskich”. Magiistranci piszą prace z teorii tłumaczenia, nie otrzymują jednak żadnego formalnego dokumentu — tylko po prostu dyplom ukończenia uniwersytetu, taki sam, jak absolwenci pozostałych trzech specjalności. Sądzę, że warto by jakoś uwidocznić w sposób formalny fakt zdobywania przez tych ludzi specjalizacji w dziedzinie teorii przekładu.

— Wydaje się u nas obecnie sporo przekładów z literatury pięknej. Wiele też się publikuje przekładów w innych państwach. Oczywiście przy

takiej masowości poziom prac tłumaczy jest różny. Ja sam często spotykam (nawet na łamach prasy literackiej) przekłady robione przez ludzi, którzy nie znają dobrze języka, z którego przekładają, nie mówiąc już o tzw. przekładach z przekładów filologicznych. Pół biedy, jeśli się przekłada w ten sposób z języków mniej popularnych u nas, nie zaliczamy jednak do tej grupy języków europejskich.

— W naszym kraju są obecnie dobre kadry tłumaczy. Także za granicą. I nie należy uważać za paradoks tego, że popełniają oni różnorakie błędy (czasem nawet rażące). Jednakże należy pamiętać, że pojedyncze błędy nie deprecjonują tłumacza, bo wiem chodzi o oddanie rzeczy nieporównywalnie ważniejszych, jakimi są np. szeroko pojęty styl tłumaczonego autora i treść ideowa przekładanego dzieła. A takie błędy, jak np. leksykalne, polegające na niepoprawnym rozumieniu poszczególnych wyrazów, popełniają i popełniają najwybitniejsi twórcy: występują one np. u Lermontowa (naturalnie mówię tu o nim jako o tłumaczu), czy z polskich poetów — u Tuwima.

— W języku polskim dla określenia jednej czynności używa się czasem kilku synonimów. Podobnie jest z „przekładem”, który niekiedy bywa „tłumaczeniem” lub „spolszczeniem”, nie mówiąc już o „próbie spolszczenia”. Co Pan o tym sądzi, które słowo w tej hierarchii jest na górze, a które na dole. Pamiętajmy jednocześnie, że w innych językach obcych występuje tylko jedno słowo oznaczające tę czynność: przekład...

— Jeszcze przed 20 laty proponowano u nas wprowadzić rozróżnienie między wyrazami „tłumaczenie” i „przekład”, odnosząc pierwszy z nich wyłącznie do literatury pięknej. Propozycja nie utrzymała się jednak, o czym dowodnie świadczy tytuł wydanej w roku ubiegłym fundamentalnej pracy zbiorowej „Przekład artystyczny”. Słowa zaś „spolszczenie” używa się na ogół aby podkreślić, uświadliwić niejako, większe odchylenie od oryginału, czasem pewną jego polonizację.

— Przypuszczam, że ma Pan na swoim warszawie jakiś temat związany ze sztuką tłumaczenia...

— To, co piszę w ciągu ostatnich lat na temat sztuki przekładu, dotyczy teorii i historii przekładu w ramach języków słowiańskich. Najbardziej interesują mnie relacje wzajemne polsko-rosyjsko-ukraińskie. Ponieważ od lat współpracuję z wydawnictwem „Ossolineum” — tam ukazuje się większość moich publikacji. Kilka ostatnio ukończonych artykułów i rozpraw naukowych jest w druku. Dotyczą one tendencji rozwojowych współczesnej teorii przekładu m.in. „Twórczość translatorska A. Puszkina, a teoria przekładu artystycznego” oraz artykuł na temat dotyczący (w językach słowiańskich) myślenia podobieństw językowych. Omawiałam tam m.in. uciążliwą nawet dla tłumaczy sprawę słów o podobnym brzmieniu lecz różnym znaczeniu. Kończąc także temat dotyczący przekładu związanego z epoką romantyzmu oraz przygotowuję referat na III Międzynarodowy Kongres Ruscystyczny, który odbędzie się w tym roku w Warszawie.

SPORY O SPUSCZYNĘ

Bardzo podoba mi się pomysł tej książki. Zainteresowanie myślą Stanisława Brzozowskiego trwa już dobrych kilkadziesiąt lat, zaś współcześnie przybrało szczególnie znaczne rozmiary. Interpretowanie jego dorobku ma więc swoją wcale długą historię, która może i powinna być przedmiotem naukowego badania. Dlaczego? To bardzo proste. Zróżnicowane próby zinterpretowania myśli S. Brzozowskiego możemy rozumieć z jednej strony, jako świadectwa swojego czasu, konfliktów, problemów, nadziei i wyborów będących udziałem naszego życia intelektualnego od kilku dziesięcioleci już lat; z drugiej strony wszakże, mają one również swoje znaczenie dla poznania myśli autora „Legendy Młodej Polski”. Czy dzisiaj, kiedy o piąty (zapewne) młody polonista, i co drugi (jak się zdaje) kandydat do objawienia świata wszechwiedzy o tym myślicielu, każdy na swój sposób, zabiera się do odczytywania, po raz nie wiem już który, dorobku S. Brzozowskiego, czy dzisiaj, kiedy nawiązuje się doń ze zgola odmiennymi pozycjami ideowymi, nie warto przypatrzeć się z bliska, jak czynili to wszyscy nasi poprzednicy, o których często wcale nie pamiętamy? Tak, zapominamy o nich, zwłaszcza, gdy sami umiemy o sobie przekonywać, że jesteśmy pierwsi w odnawianiu nowych intelektualnych światów.

Marian Stepien proponuje stwierdzić nie tak proste i prawdziwe, że aż banalne. Obserwuje bowiem, że nasze liczne dyskusje i wystąpienia o S. Brzozowskim nader często po prostu „ignorują bogatą dyskusję, toczącą się w Polsce międzywojennej” wokół spuścizny myśliciela. A przecież — badacz mógł stwierdzić to po zanalizowaniu ogromnego materiału — te dawniejsze spory warte są poznania. Przedwojenna dyskusja o autorze „Legendy Młodej Polski” może się nam po prostu dzisiaj przydać. „Po pierwsze — konkluduje M. Stepien — przyniosła ona pewne konstatacje, doprowadziła do pewnych ustaleń, do których niepotrzebnie, ze stratą czasu, dochodzi się ponownie. Po wtóre, jest ciągle żywa i ciągle pouczająca ilustracją, pokazującą, jaką praktyczną funkcję w naszym społeczeństwie pełniły i pełnić mogą idee Brzozowskiego”. A nie są to sprawy bagatelne.

Marian Stepien swą książkę „Spór o spuściznę po Stanisławie Brzozowskim w latach 1918–1939” ogłosił świeżo (1976) przez krakowskie „Wydawnictwo Literackie”, poświęcił analizie różnorodności funkcjonowania myśli autora „Kultury i życia” w czasach przedwojennych. Mniej interesowały go konstatacje, nie podlegające dyskusji; bardziej interpretacje, z założenia najbardziej dyskusyjne. Mniej chodziło mu o to, jakim naprawdę był S. Brzozowski; bardziej o to, jakim go widzieliśmy, za jakiego uważano. Uczony dał nam do rąk fascynującą książkę o tym, jak przedstawiciele najrozmaitszych orientacji ideowych i politycznych okresu międzywojennego odczytywali S. Brzozowskiego, jak interpretowali go przez pryzmat swych własnych światopoglądów, jak niejednokrotnie — wcale nie rzadko — wpisywali do poglądów swego bohatera treści, których tam wprawdzie nie było, ale które bardzo pragneli tam dobrać. Szkoda jedynie, że M. Stepien ograniczył się tylko do lat 1918–1939, mniej jednak nadzieję, że niebawem przystąpi do analogicznego zbadania nowej fazy sporów wokół autora „Legendy Młodej Polski”, tej mianowicie, która przypadała już na czas Polski Ludowej, a jest — jak sam to stwierdza — „nie mniej frapująca i wciąż „czeka na prezentację”.

M. Stepien bada spory o spuściznę po S. Brzozowskim, wychodząc nie tyle od nurtów estetycznych, ile od głównych orientacji ideowych okresu międzywojennego. Pokazuje, jak rozumiano i interpretowano myśliciela na lewicy, gdzie nie od razu zdano sobie sprawę ze znaczenia jego dorobku intelektualnego. Świadczy o tym zarówno polemika w związku z ukazaniem się broszury Juliana Bruna-Bronowicza o S. Brzozowskim, jak i liczne późniejsze wypowiedzi, w których zaznaczała się nie prosta bynajmniej ewolucja sądów przedstawicieli lewicy o S. Brzozowskim. Pasjonujące jest w książce M. Stepienia zestawienie owych interpretacji lewicowych z tymi, które podejmowano współcześnie w innych obozach. Przecież S. Brzozowskiego uważano za „swego” zarówno w obozie sanacyjnym, jak i w kręgach zbliżonych do Narodowej Demokracji, gdzie usiłowano go interpretować, jako kontynuatora polskiej „filozofii narodowej”. Podobnie na różne sposoby zawłaszczano go koła katolickie. Szczególnie wymowna jest wreszcie analiza interpretacji dorobku autora „Legendy Młodej Polski”, rozwijanej z punktu widzenia „ideologii państwa”, gdzie — jak stwierdza to M. Stepien — „pochwałę Brzozowskiego głoszone w kontekście uznania dla Hitlera”. Szkokujące, ale prawdziwe: z naszego myśliciela starano się uczynić nawet prekursora... narodowego socjalizmu!

Nie jestem znawcą myśli S. Brzozowskiego, nie bardzo więc zdaję sobie sprawę z tego, co z ówczesnych, międzywojennych sporów wniosło rzeczywisty wkład w jej poznanie. Tu muszę zawierzyć M. Stepieniowi. Ale jego badania mają jeszcze i inny sens: dają niezmienne charakterystyczne świadectwo owego wpisywania w dzieło cięszącego się zainteresowaniem myśliciela treści, jakie każdy — zależnie od własnych wyrobów ideowych — chciałby w nim widzieć. Spory te, to dzieje ideowej walki, która nie toczyła się o S. Brzozowskiego, ale o inne, większe sprawy. Tej walki, którą możemy lepiej poznać, jeśli przypatrzymy się przedstawionym w pięknej książce M. Stepienia sporem o spuściznę po autorze „Legendy Młodej Polski”.

ANDRZEJ MAJER

LEKTOR

PLASTYKA



Foto: W. Maciejewski

KUBA GRZYSOWSKI

Wystawa grafiki i rysunku Ryszarda Kuby Grzybowskiego w salonie przy ul. Piotrkowskiej jest pod pewnym względem nietypowa: znany doskonale w łódzkim środowisku autor plakatów i użytkowych druków należy do młodszych pokoleń twórców — mimo to wybrał dla swej wystawy formę solidnej retrospektywnej, tradycyjnie zastrzeżoną dla dostojnych lub zasłużonych jubilatów.

Sądzę że „pełna odsłona” — prezentacja wybranych prac z okresu kilkunastu lat doświadczeń tłumaczy wszelkie wątpliwości, jakie można by odnieść do jego użytkowej twórczości. Plakaty i druki Grzybowskiego zwykle wymykały się schematom chętnie powtarzanym przez innych twórców, do których odbiorca zdążył przywyknąć; były jakby bardziej swobodne i mniej obciążone tradycyjnymi regułami dyscypliny twórczości opartej na silnych kontrastach, ich specyficzna „malarskość” łagodziła napięcie poczucia Grzybowskiemu za brak zrozumienia wszelkich modnych w grafice użytkowej tendencji.

Wystawa przekonuje na pewno, że Grzybowski jest rasowym grafikiem — warsztatowo, wrażliwym a nawet nieco romantycznym. Najważniejsze grafiki — notaki z wakacyjnych wypraw, złożone w cykle, pokazują zoomorficzne pejzaże; przemysłowe odczytane w przyrodzie góry, ryby czy doliny — motyle. Czerń i biel zmieszane w setki odcieni składają się na drzazgę, ruchliwą wizję materii przyrody pozbawionej patosu, w tajemniczy sposób przybliżonej ludzkiej skali pojmowania.

Z kolei twarze innego cyklu grafik osadzone są na płaszczyźnie papieru jak kępy mchu lub kryształowe naroda. Jeśli często używa się dla opisu powstawania dzieła sztuki terminu „przetwarzanie” rzeczy-

wistości — to zdaje się, że pejzażowa grafika Grzybowskiego mogą być tego znakomitą ilustracją.

Kolejny etap twórczości, to zainteresowanie sportem lub raczej samym aktem wysiłku. Zawieszeni w odrębnionej pustce, zatrzymani w ruchu sportowcy Grzybowskiego są samotni, mają twarze wykrzywione nadmiernym wysiłkiem. Wiele w tych grafikach specyficznej nostalgii, jakby niewiary w satysfakcję ze zmagań człowieka z wysokością czy przeszkodą. Stopniowo Grzybowski dotarł do obozu „nowego realizmu” jako sposobu obrazowania refleksji i przemyśleń. Od licznych szeregów artystów wykorzystujących ponad miarę zewnętrzna maniere różni go, jak uważam, odrzucenie zainteresowania dla samych środków wyrazu, na korzyść skupienia uwagi przy literackiej anegdotce. Specjalnego gatunku poradnictwo życiowe („Jak szybko dojść do celu”, „Jak nie być podwójnie płaskim” — tytuły grafik z ostatnich lat) to przede wszystkim autoironia, ale i spory ładunek emocjonalnego stosunku do rzeczywistości. Artysta upozowany na nieco złośliwego, brodatego mędrcę składa swe rysunki, jak mozaikę, z okruczeń krzywego zwierciadła, w którym odbijają się charakterystyczne dla konsumpcyjnej cywilizacji tęsknoty i mity — przeniesione wprost z ilustrowanych magazynów i idyllicznych reklam ukryte marzenia o lepszym życiu.

Dzięki solidnie retrospektywnej wystawie (odważnie pokazanej w samym środku kankuły!) Grzybowski przekonuje, jako uzasadnia genezę swojej twórczości użytkowej. Jego nowe prace należy raczej oceniać w kategoriach publicystyki czy satyry. Czy zawsze trafnej — zależy to już wyłącznie od widzów.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

W PONIEDZIAŁEK CHORY NA DESZCZ

W poniedziałek beznadziejnie chory na deszcz
Polamany w konarach z przedartym listkiem klonowym
W tramwaju zgrzytającym po gruzłowatych szynach
Z kobietami pachnącymi octem i bawełną
Z napisem nad drzwiami wejście wyjście
Ze strasznie kaszlącym mężczyzną
Zatykającym pieścia rozwarłe usta
By z nich nie wyskoczyła ta mysz piszcząca
W tramwaju wlokącym się jakby śmił zab
Przemokłym do suchej nitki zbiegłym blach
W poniedziałek zwiastujący jak namokły papierowy worek
Na trątki wysokiego napięcia
Z myślami wiszącymi na zdrętwiałym stopniu
W środku miasta wyjącego światłem karetki reanimacyjnej

EWA LAŚKIEWICZ



Byłam u źródeł czasu
byłam małą dziewczynką
Źródła spadają pionowo w dół
zielona kraina
choć nie ma zieleni
uciekła olchym lotem śmy
A więc zielona kraina
i nagle szwargot
przecież ja nie pamiętam
to był długi film, za długi
Wszystko mi się poplątało
zdążyło do trawy
a zbierze się plon
tylko czegoś
należności ludzkiej
Długopis wypisuje się
lata uciekają
ale jest mdło
taki rybi zapach
i tylko ta pusta kartka
stała przede mną

CZESŁAWA POLITAŃSKA



Ktoś kładzie koronę i klejnot na palec
zamyka w komorze i kielich podaje

Ktoś w kacie w kłęb zwinnie i rzuci jak kamień
w kolory wprowadził i ukłęknie przy niej

Po kilimach klawiszach księżycach
pod krzyżem
w kółce kołysz kochanie lub ciszę

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

CHIŃSKA TAPETA

Panu Zbigniewowi Herbertowi

Coś się powtarza — I tak w krąg
Chińska tapeta — a może egipska
Listek bezwzględnie przylega do listka
Parasolka i mostek przez okrągły rok

Smukła panienka uśmiecha się zeń
Wskazuje ryby wyciągnięta dłonią
Czemu historia powtarza się wciąż
Nad nieruchomą tej panienki skronią

Wciąż powielana dokoła na ścianie
Ow nudy symbol który przestał znaczyć
Czy się doczeka że ktoś prawem serii
Przez chwilę na nią popatrzy inaczej

Gdy wiele razy ją dostrzeże ktoś
Wciąż powtarzana w nieuchronnym geście
Zdrze tapetę i popelni błąd
W nędznym hotelu na brudnym przedmieszcju

Stary cynik roześmiał się, wstał, przesiadł się między siedzącymi w rzędzie ławek i ruszył do wyjścia kuśtykając (nie wiedział, że utyka na jedną nogę). Jak sięgał pamięcią, zawsze widział go siedzącego albo stojącego za biurkiem w kancelarii wydziału. Zawieszony w powietrzu, gdzie znajdują się poszukiwane akta, wyciągał je z szuflady jak za machnięciem czarodziej-ską różdżką, albo mówił do podwładnego, ty, Antos, podaj akta sprawy pana, leż na biurku u prezesa, ruszył więc utykając na jedną nogę, kulas, kuter-noga, kulawy diabeł, który jak głosiła legenda czaił się w zakamarkach pa-lacu Pała i niekiedy wyłaniał się, i na-igrawał z sędziów, z prokuratorów, z obrońców, z ludzkiej, ulomnej sprawi-dliwości.

Sąd wehodzi! zapowiedział woźny mo-cnym basem. Proszę wstać.

Przewodniczący udzielił głosu obrońcy i mecenas kontynuował przemówienie. Zarazony sceptycyzmem sekretarza słuchał bez przekonania szumnych wywodów, która wydały mu się puste. Woyzbun ponczal mnie kiedyś, że pod-stawowym warunkiem dobrego przemó-wienia jest, aby mówca miał coś waż-nego do powiedzenia. Czyżby dzisiaj zabrakło mecenasowi realnych argu-mentów do obrony klienta? A może nie wierzył w to, co mówił, i szukał efek-townych frazesów, którymi by mógł ludzi siebie i sąd?

Staral się przekonać sędziów, że wy-jasnienia oskarżonego i zeznania świad-ków dały plastyczny obraz podśladnego i jego przedmatematycznych czasów. Kara-kulski był dawniej człowiekiem opano-wanym, skłonnym do optymistycznego poglądu na świat, człowiekiem, który z

przestąpił mi imponować blaskiem no-wości? Widziałem i domyślałem się kulis codziennej praktyki adwokackiej: Cel uświślał środki. Wszystko było do-bre, co służyło obronie klienta i wygra-niu sprawy. Teza, którą miał odważyć jawnie i cynicznie głosić Papliński w swojej broszurze „Etyka przed sądem”. Również można było praktycznie bio-rąc obronę tezę, że każda sprawa jest do przyjęcia albo ze względu na interes oskarżonego, którego nasze uczucie ludzkości nie pozwala zostawić bez o-brońcy, albo ze względu na inne okolicz-ności. Czy wielki patron adwokatów, najznakomitszy mówca wszechczasów Marek Tulliusz Ciceron, republikanin i arystokrata, nie podjął się pod nacis-kiem Cezara i Pompejusza obrony tak znanawidzonego przezeń Publiusza Wa-tyniusza, cezarianina i byłego trybuna ludowego, którego kiedyś jako świadka odsadził od egi i wiary oburzając go niewybrednymi epitetami: „Najbezczel-niejszy i najpodlejszy człowiek”, „ty-ran wyległy z błota i ciemności”, „nie-godziwy wróg ojczyzny”. Dlaczego by więc mecenas Woyzbun nie mógł zmie-nić zdania o Karakulskim, którego po pierwszej z nim rozmowie nazwał żu-li-kiem dodając, że „straciłby szacunek dla samego siebie, gdyby go miał bro-nić”. Przykład szedł z góry od genial-nego oratora. Dlaczego więc to, co było wolno Ciceronowi w tym nieczystym zawodzie, miało być wzbronione Woy-zbunowi w dwadzieścia wieków później? A ileż to jeszcze razy ten uroczy kre-tacz, chwalcza republiki arystokratycznej i rządów senatu, przeczł sobie? Przy-lączywszy się do zwolenników triumwi-ratu i wrogów republiki, Cezara, Pom-pejusza i Krassusa, zwanych też dyna-

nym wzruszeniem” a „patologicznym afektem”.

Z nudów przystąpiłem do leczenia ko-lumna po obu stronach sali. Nigdy nie mogłem doliczyć do końca, zawsze mi coś przeszkodziło. Tym razem także się nie doliczyłem, musiałbym obrócić się do tyłu, spojrzeć za siebie, a właśnie zaciekało mnie zdanie, jakie padło z ust mecenasa, że podśladny jest konstytu-cjonalnym psychopata.

Biegli orzekli, słuchałem dalej, że u chorego rozwinięła się silna psychoza maniako-depresyjna o charakterze odwracalnym, ale nie wyciągneli kon-sekwentnie właściwego wniosku, że oskarżony na skutek zamroczenia świado-mości nie rozumiał istoty czynu, którego się dopuścił.

Zorientowałem się, że przemówienie zbliża się do końca.

Nie mogłem zgodzić się z tezą pana pro-kuratora, że w przypadku oskarżonego Karakulskiego dolus impetus nie mógł zaistnieć, a to jakoby z powodu, że oskarżony po drodze do „Nirwany” ochło-nął z wrażenia po telefonicznej rozmowie z agentem Biura „Pinkerton”. U-waża się za okoliczność bezsporna, że zamiar nagły powstaje pod wpływem afektu.

Tutaj Woyzbun zacytował opinie u-czonych teoretyków i znawców prawa karnego. Rozważając psychologiczne podłoże przestępstwa pod wpływem za-miaru nagłego, nauka wiąże to zagad-nienie z problemem frustracji, oznaczaj-ącej sytuację, w której droga do osią-gnięcia celu przez osobę siłąsirowaną została zablokowana. Wpomniałem, że celem, który przyswiewcał mojemu klien-towi, było utworzenie szczęśliwego ogni-ska domowego. Niestety, celu osiągnąć

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

MOWA OBROŃCZA (2)

żelazną konsekwencją i pracowitością, dążył do osiągnięcia takiego poziomu życia i sytuacji majątkowej, w której mógłby się uważać — jeżeli to w ogóle jest możliwe — za człowieka pod wieloma względami niezależnego. A obecnie Karakulski to kłębek nerwów, człowiek o rozbieganych żrenicach, nerwowych ruchach, cień dawnego self-made-mana. Co pan tam trzyma w rękach, panie Karakulski? zawołał mecenas i wyjął oskarżonemu z ręki kamik, który okazał sądowi. To jest kamik, proszę wy-sokiego sądu. Podśladny obraca w pal-cach kamik albo ugniata nerwowo w palcach galki chleba. Widzę jakąś przy-gnębającą analogię pomiędzy obraca-nymi nerwowo w palcach przez oskar-żonego kamikami, a jego losem, który przyniósł go i obracał nim aż do utra-ty przez oskarżonego świadomości włas-nych czynów. Nie wiem, jak nazwać ten objaw. Nie chciałbym wkraczać w kom-petencje psychiatrów, ale podśladny wy-dał się być, właśnie tym pyłkiem, nie-sionym bezwładnie przez wicher losów, które doprowadziły go aż do zbrodni.

Mecenas zrobił krótką przerwę i wy-tarł chusteczką społinałe czoło.

Nie podobał mi się i ten taki chwyt krasomówcy z kamikiem. Nie mogłem jednak osądzić, czy był całkowicie zmy-słony, czy opierał się na realnym fak-cie. Konferowałem z Karakulskim zbył krótko i nie zauważyłem, czy nie trzy-mał czegoś w ręce. Pamiętam tylko, że siedziałem za biurkiem mając przed so-bą Karakulskiego, pochylonego a raczej przygarbionego, z rękami opuszczonymi między kolanami, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Mógł więc trzymać kamik w rękach, czego nie dostrzegłem. Mecenas był widocznie bardziej spostrzegaw-czy a rozmawiał też z Karakulskim przed sprawą parokrotnie. Ale zgoda. Przyjmijmy nawet, że mania Karakul-skiego nie została wymyślona dla do-rażnego celu, dla wydarcia sądowi wy-roku uniewinniającego. Otóż nie podej-rzewałem dotąd, żeby Woyzbun był zdolny posunąć się aż tak daleko. Pa-miętałem, że ostrzegał mnie, że nie wolno pouczać strony zainteresowanej w wyniku procesu, jak powinna zezna-wać przed sądem, gdyż takie instruowa-nie to pogranicze krętaństwa i matac-twa, których obrońca powinien unikać jako czynu hanbiącego godność stanu adwokackiego. Ale po co w takim ra-zie tyle taniego efekciarstwa w przemó-wieniu cenionego luminarza adwokatu-ry, który osiągnął apogeum uznania i sukcesu w swoim zawodzie, i którego nazwisko było znane nie tylko w War-szawie, lecz w całej Polsce. Do utrzyma-nia się na poziomie dotychczasowej popularności wystarczyła mu wyrobiona praktyka adwokacka. Po cóż pisał się wyżej narażając się na niebezpieczeń-stwo potknięcia, w pracy adwokata mo-gły mu tylko zaszkodzić? Nie mówię, żeby starzejący się obrońca musiał rezygnować z występów przed sądem, jak mądry aktor, który wycofuje się ze sceny widząc, że gwiazda jego gaśnie, ale powinien (adwokat) unikać wystę-pów w wątpliwych procesach cenią so-bie zdobyty autorytet. A więc co w koń-cu skłania go do przyjmowania pełno-mocnictwa i występowania w karkolo-mnych procesach? Czy nie zamiar pre-konowania opinii publicznej, że jest on niezrównany i potrafi z każdego procesu wyjść jako zwycięzca? I czy to wła-snie nie jest immanentną w zawodzie obrońcy pokusą zła, która nie zawa-ha się, żeby sięgnąć po najbardziej kon-trowersyjny argument, nie zawaha się użyć żadnego chwytu i kruczka, byle tylko dopiąć celu i uzyskać korzystny dla klienta wyrok?

A zresztą może okazywałem się zbyt wymagającym krytykiem mecenasa? Może minęło moje dawne pierwsze zau-roczenie występami obrońcy Woy-zbuna? Może teraz oceniałem go na podstawie doświadczeń i refleksji, ja-kiś mi dostarczały sale sądowe? Może byłem już zbliżowanym obserwatorem dramatycznych polemik prokuratora z adwokatami, które mi powszedniały i straciły dawny urok, a słosowane przez obrońców sztuczki i zagrania

stami, i „gryzące pigułkę, którą musiał połknąć, jak pisał do swojego przyja-ciele Attyka, nie tylko schlebiał Cezarowi wynosząc go pod niebiosa („Dziś, gdy Cezar aż do Oceanu pokroził wszy-stkich wrogów, mogą się nawet Alpy zapasć, którymi przyroda nie bez woli bogów osłoniła Italię”), lecz musiał je-szcze występować w procesach sądo-wych jako obrońca ludzi dynastów, a między innymi, Korneliusza Balbusa przyznając się jawnie w jednym z list-ów do oportunistów: „To bowiem, co stałe miałem przed oczami: godność w wypowiadaniu swojego zdania, niezależ-ność w polityce, to wszystko przepadło nie tylko dla mnie, lecz i dla wszyst-kich. Musi się bowiem albo bez godno-sci przytakiwać kilku potentatom albo sprzeciwiać się im, ale wtedy bez re-zultatu”. Podobnie jak z Korneliuszem Balbusem miała się rzecz z obroną Gal-usza Kaminiusza. W liście do jednego z przyjaciół pisał Ciceron ex re tego pro-cesu, że rola adwokata od dawna prze-stała go bawić: „Bo jakże to, jeżeli już dawniej budziła on we mnie niesmak, choć dodawała mi podniety młodość i żądza sławy, a przy tym wolno mi było nie bronić człowieka, którego bronić nie chciałem, to obecnie takie życie nie ma dla mnie żadnego uroku”.

Nie dziwny się więc Petrarce, który po zapoznaniu się z listami Cicerona przeżył głęboko rozczarowanie i żal z powodu utraty wyidealizowanego obra-zu sławnego oratora rzymskiego i filo-zofa.

Ale ostatecznie gorsze rzeczy dzieją się na świecie, rozmyślałem szukając okoliczności łagodzących dla mecenasa i zdawało mi się, że mam w ustach coś o metalicznym smaku, którego nie mogę się pozbyć. Dawno nie czułem się tak marnie. Mecenas, wzór cnót, siedział widocznie po uszy w długach u Szre-tera. Ta piękna idiotka, aktorka bez ta-lentu zgubi go, jeżeli „nie odstąpił jej”, jak twierdziła Monika, za długi i odseki właścicieli „Biura Technicz-nego reprezentacja Koeln-Deutz silniki spalinyowe na gaz ssany i na ropę” na częściowe pokrycie tej pożyczki i li-chwiarskich procentów.

Oczywiście biorąc realnie nie można żądać od adwokatów, żeby podejmowali się obrony tylko w wypadkach, gdy byłby przekonani o braku winy klien-ta, rozmyślałem. Każdy ma prawo się bronić, a więc ma prawo do obrony. Prawda sądowa to nie matematyka, w której wynik prawidłowo rozwiązane-go zadania nie nasuwa wątpliwości. Ina-czej jest w procesie karnym lub cywil-nym, w których powikłania faktyczne tworzą często istny węzeł gordyjski nie do rozplątania. Wątpliwości wyda-ja się tutaj z natury immanentne, wahania usprawiedliwione, a wyrok jako rezul-tat prawdy materialnej osiągniętej po długich perypetiach procesowych nigdy nie da się porównać z kryształową czy-sznością rozwiązania trudnego i skompli-kowanego zadania matematycznego.

Zgoda, ale mecenas w moim wyobra-żeniu należał do wyjątków, i dlatego mogłem mówić, że się na nim zawio-dłem. Oczywiście faktyka i chwyt, ja-kie w obronie Karakulskiego stosowa-łem nie wydały mi się najwyższej klasy, ale znów, czy znajdziecie człowieka, który by w ciągu całego życia potrafił utrzy-mać się na najwyższym diapazanie? I czy zbyt silne poczucie zła, ten zarzut kierowałem przeciwko sobie, nie bywa-ciem wynikiem infantylnych uczuć?

Analizując moje rozmyślenia zastana-wiałem się, czy ja czasem nie popel-niam błędu stawiając Woyzbunowi i so-bie zbyt wysokie wymagania? Bo może są to we mnie jakieś resztki szczeniackiej egzaltacji, która chce, żeby świat był czysty jak diament, i nie godzi się na żadne kompromisy.

Lekarze, biegli-psychiatrzy orzekli, że podśladny w czasie krytycznym działał pod wpływem znacznego zamroczenia świadomości, usłyszałem znów głos me-cenas, a ja twierdząc, wysoki sędzie, że oskarżony popełnił inkryminowany mu czyn w stanie patologicznego afektu.

Następnie mecenas zaczął przeprowa-dzać znane rozróżnienia między „sil-

nie mógł i czuł się sfrustrowany. Taki człowiek jak Karakulski przeżywa nie-szczęście w milczeniu i nie jest skłonny zwierzać się albo manifestować swoich uczuć w obecności agenta prywatnego biura detektywów. Nie opowiada się chętnie o swych porażkach, tai się je, ukrywa w sereu jak coś wstydlivego, ale przez to właśnie przeżywa się je tym silniej i głębiej. Takie życie emo-cjonalne znajdujące się w podślad ludz-kiego działania, nie tylko dezorganizuje władzę panowania nad sobą, ale rów-nież wystrzała pogląd na dręczący czło-wieka problem życiowy. Oto dlaczego klient mój w drodze z mieszkania do „Nirwany” przeżywał pozornie z ka-miennym spokojem emocje, które były potężnym ciosem dla jego psychiki. Po-staramy się więc walczyć w przeżycia oskarżonego. Za chwilę miał zobaczyć ko-bietę, która zawiadła jego zaufanie, zla-mała wiarę małżeńską. Trudno pojąć, co się działo w duszy desperata. On sam nie potrafił tego wyrazić. Brak mu tej szczypty wyobraźni i elokwencji.

W tym miejscu Karakulski przyłożył czoło do krawędzi deski, oddzielającej ławę adwokatów od ławy oskarżonych, i ciałem jego wstrząsnął szloch. Zagra-la znów fałszywa melodramatyczna nuta zainscenizowanego widowiska.

Sędziowie przypatrywali się obrońcy i oskarżonemu z objętością. Twarz sę-dziego zasiadającego najbliższej protoko-lanta przeczał grymas zniescierpliwienia.

Jedno wszelako, wysoki sędzie, nie ulega wątpliwości! Woyzbun uderzył teraz w patetyczny ton; domyśliłem się, że mowa obrończa zbliża się do końca.

Tutaj, wskazał na podśladnego, broni się skromnością, tam, w „Nirwanie” bro-nił się bezwzględnie, tu czystość, tam po-rubstwo, tu pracowitość, tam lenistwo, tu stateczność, tam szaleństwo, tu pow-sześlliwość, tam rozpusta.

Była to zrzęca parafraza finału tak zwanej drugiej Katalinarki czyli prze-mówienia Cicerona przeciwko Katali-nie. Pomyślałem, że było to ładne, ale niedziśniejsze. My, ludzie współcześni, jesteśmy rzeczowi i nie poddajemy się łatwo piękny, lecz pustym słowom, szukamy konkretnych sformułowań. Mecenas jednak, wierny klasycznemu wzor-rom retoryki formułował w zakończeniu tak zwane commiseratio, w którym o-rator stara się odwołać do humanitar-nych uczuć sędziów i wzbudzić w nich wzruszenie i współczucie. Wydało mi się to przestarzałe i trochę śmieszne.

Są sprawy, w których czyn zagrożony sankcją karną, przemawiał Woyzbun to-nem znanym ludziom obytym i doś-wiedzionym w procesach karnych, to-nem powiedziałbym już rozluźnionym z napięcia, w jakim miała trzymać się słuchacza mowa obrończa, sprawy, w któ-rych czyn przestępcy wzbudza w nas z początku uczucie grozy, ale po bliż-szym wejściu w motyw i przyczynę dokonanego przestępstwa zaczynamy ro-zumieć, że mamy przed sobą, nie zbrodnię, lecz ciężkie ludzkie nieszczę-scie.

Zrobił krótką przerwę, po czym mo-cnym głosem oświadczył, że wnosi o zwolnienie oskarżonego od kary.

Przewodniczący zapytał, o co prosi oskarżony?

Karakulski wstał, potrzaskał głową, rozłożył ramiona, przyłożył palec do ust dając do zrozumienia, że nie jest w stanie wymówić słowa.

Oskarżony zrzeka się ostatniego sło-wa, stwierdził przewodniczący.

Karakulski skinął głową.

Sąd ogłosił wyrok po przerwie, oznaj-mił przewodniczący, a woźny wykrzyk-nął, proszę wstać!

Sędziowie wstali, nałożyli birety na głowy i udali się do sali narad.

Wolałem, żeby mnie mecenas nie za-uważał, i udało mi się wymknąć chył-kiem. Ale zdążyłem dostrzec, jak Pa-pliński zerwał się z pierwszego rzędu, podbiegł do ławy obrońców i uściśnął mecenasowi rękę potrząsając nią i gra-tulując mu wylewnie znakomitej plai-doyer.

Fragment powieści



Foto: W. Parys

PRZEPROWADZKA

Dalszy ciąg ze str. 1

właśnie na przeprowadzkę. Po tym tygodniu, gdyby wszystko poszło dobrze, przyszedłby już do pracy pod nowy adres. Fabrykę przenoszono by salami. Przygotowano bardzo sprawną system przeprowadzki, który powinien zdać egzamin. Ale teraz wszystko zależy od budowlanych.

Od nich zależy też tegoroczne powodzenie produkcyjne popularnego krawca płaszczy i kurtki męskich. Nowa fabryka będzie potrzebowała więcej ludzi, a więc i będzie mogła dać wyższą produkcję. Logiczne. Zaplanowano więc na drugie półrocze przyjęcie 300 osób.

— Trzysta osób — mówił Jan Sokal — to 600 płaszczy dziennie więcej.

Tylko, że w starych murach dla tych 300 osób nie ma miejsca do pracy. Bo za ciasno. A plan produkcyjny wyższy. Jak to teraz zrobić? I to nie jest jedyny kłopot, bo ani zagranicznego, ani krajowego odbiorcy nie a nie nie obchodzi, czy „Próchnik” przeprowadził się w terminie, czy budowlani wszystko w terminie zrobili, czy kooperanci dostarczyli wszystko na czas i czy w zwiększonej ilości, czy nie. Kontrahent — ten zagraniczny szczególnie — nie lubi takich tłumaczeń, że producent miał obiektywne trudności. Dla niego interes jest interesem i gdyby wiedział, że producent jest niesolidny, to złożyłby zamówienia komu innemu. A okazać się raz niesolidnym, nawet z najbardziej obiektywnych powodów, to po prostu stracić rynek. Załoga „Próchnika” doskonale pamięta, jak trudno było zdobyć zaufanie zagranicznych kontrahentów i robi wszystko, aby raz zdobytych rynków nie stracić. Tylko czy nie odbije się to na rynku krajowym? W „Próchniku” pamiętają, jak wszyscy cieszyli się, kiedy w jakimś zagranicznym domu towarowym udało się ulokować... 10 płaszczy i kiedy okazało się, że te 10 płaszczy poszło, że je ludzie kupili. Pierwsze kroki były bardzo trudne. Dziś przed ZPO im. dr Adama Próchnika w Łodzi parkują wielkie samochody zagraniczne z kontenerami, do których ładuje się płaszcze i są one już następnego dnia na wieszakach wielkich domów towarowych. Więc „Próchnik” robi wszystko, aby kontenery zabierały te płaszcze, choć nie będzie to łatwe. Ale — jeszcze raz powtarzam — czy nie odbije się to na rynku krajowym?

— Gdyby cofnął się pan pamięcią — pytam Jana Sokala — i zechciał powiedzieć, jaki okres był najtrudniejszy w pana życiu?

— Wie pani, że schudłem już 8 kilo — mówi niby nie na temat, ale już wiem, że właśnie teraz jest ten najtrudniejszy okres.

Budowlani też mają trudny okres. Zbiegły im się prace wykończeniowe i to na kilku inwestycjach. Wiadomo, co to są prace wykończeniowe. Do tego potrzeba ludzi. A właśnie ludzi nie ma. Dlatego, że urlopy, że żniwa, że inne zadania też pilne. Ekipy wykończeniowe przetrzuca się więc z miejsca na miejsce, ale rezultatów takich przerzutów nie widać, bo jak na jednej inwestycji trochę prace podciągną, to już pilną z innej, że terminy licho bierze.

— Miasto też nas naciska — powiada Jan Sokal. — Miastu potrzebny jest teren, na którym wciąż stoi „Próchnik”.

„Stary Próchnik” stoi sobie więc spokojnie przy ulicy Sienkiewicza, a „nowy Próchnik” rośnie przy ulicy Milionowej. Rośnie powoli jak na terminy, plany i ambicje załogi. Ludzie chcieliby już tę przeprowadzkę mieć z głowy. A tu trzeba czekać.

— Myśli pani, że na przyszły rok nie dostaliśmy większego planu? — mówi Jan Sokal. — Dostaliśmy. I słusznie. Rośnie załoga, rośnie moc produkcyjna fabryki, to i plan musi być wyższy.

Ale nowa fabryka nie rośnie tak szybko jakby się tego należało spodziewać. Poszliśmy więc na ulicę Milionową. To nawet nie tak daleko. Spacerować dobrze robi. Uspokaja nerwy. Pozwala odetchnąć, odprężyć się. Dyrektor Sokal wcale się nie odprężył. Przeciwnie. Sprężył się i najeżył. Nie chciałabym być w skórze budowlanych.

Inżynier Krzysztof Fidała zaczął swoją karierę jako kierownik budowy nowych pomieszczeń dla „Próchnika”. Szło mu znakomicie. Nie spał tyle, ile by się należało. Martwił się, warował na budowie i popychał ją do przodu. Wszyscy byli zadowoleni. I inżynier Krzysztof Fidała awansował. Teraz interesuje się nie tylko jedną budową. Z racji swego stanowiska musi być optymistą.

— Wszystkie roboty — powiada — w budynku produkcyjnym skończymy do 15 września.

Jan Sokal bardzo się tym zapewnieniem ucieszył, ale zaraz też wylał kubek zimnej wody na optymizm inżyniera Krzysztofa Fidała.

— To pięknie — powiedział — Ale aby dostać się do budynku produkcyjnego, musi być gotowe wejście w budynek administracyjny. Musi być gotowy dojazd dla ciężkich samochodów, które przyjadą już tutaj po odbiór towaru. Muszą funkcjonować urządzenia sanitarne, muszą być gotowe szatnie. Załoga musi mieć normalne warunki pracy. Możemy jeszcze poczekać na stolówkę, administracja może jakiś czas popracować nawet w baraku, ale dla produkcji musi być wszystko przygotowane, aby organizacja pracy nie szwankowała.

Krzysztof Fidała: — To wszystko powinniśmy zrobić do 30 listopada.

Jan Sokal: — Czego wam brakuje? Materiały macie.

Krzysztof Fidała: — Ludzi.

Jan Sokal: — No tak, ludzi jest mało. Przydałoby się więcej.

— Ilu pracuje? — pytam teraz ja.

— Stu dwudziestu — odpowiada inż. Krzysztof Fidała.

— A ilu powinno pracować? — pytam dalej.

— Dwustu — powiada inż. Fidała. — Ale dośliśmy tych brakujących. Zrobimy uderzenie. Przygotowujemy front pracy dla podwykonawców. Wprowadzimy pewne innowacje. Przyspieszymy.

Jan Sokal: — To wszystko miało już być przed końcem maja.

Krzysztof Fidała: — To nieporozumienie. Jeśli nawet publicznie padł taki termin, to wcale nie wynikało z tego, że „Próchnik” z początkiem czerwca zacznie produkcję w nowym budynku.

Jan Sokal: — A co to miało znaczyć?

Krzysztof Fidała: — Przecież my nie tylko „Próchnika” mamy do wykończenia. Takich fabryk robimy kilka.

Jan Sokal: — Jeśli ma pan choć cień wątpliwości, że i 30 listopada wszystko nie będzie gotowe, że my nie będziemy mogli zacząć wtedy produkcji w nowej fabryce, to powiedz pan. Ja wtedy powiem ludziom, że i ten termin jest nierealny, ludzie wezmą po tygodniu zaległego urlopu i poczekamy z przeprowadzką do następnego roku. Zimą to my się nie będziemy przenosić do nowej fabryki.

Krzysztof Fidała: — Takie uderzenie przygotowaliśmy już w kwietniu i maju, ale trzeba było zabrać ludzi na inne budowy. Teraz kolej przyszła znowu na „Próchnika”.

Bardzo uważnie przysłuchiwałam się temu dialogowi. I przyznam, że nadal dokładnie nie wiem, czy będzie „Próchnik” gotowy na 30 listopada, czy też nie. Wtedy przyszedł mi do głowy znakomity — przynajmniej w moim przekonaniu — pomysł.

— Panowie — powiedziałam — przychodzę 30 listopada z butelką szampana i albo ją rozbijemy na progu nowej fabryki, albo...

— Na czyjej głowie? — zgodnie zapytali obaj panowie.

— No, nie. Po prostu schowamy ją do lodówki.

— Nie będzie takiej potrzeby! — znowu obaj panowie byli zadziwiająco zgodni.

BOGDA MADEJ

EUGENIUSZ IWANICKI

DO TEGO TRZEBA CIERPLIWOŚCI

Pomrukiwały działa, dudniły na kocich łbach gasienice czołgów i ulicami jechały wojskowe samochody. Do budynku fabryczki włókienniczej w Zgierz weszli oficerowie radzieccy.

— Kto zdieł samą główną? — zapytali.

— Jestem krawcem, nie nie wiem, może w biurze... — odpowiedział zagadnięty.

Tak rozpoczęła się powojenna historia zgierskiej „Zety”. Radzieccy oficerowie przyszli wówczas prosić polskich krawców, by uszyli dla Armii Czerwonej kilkadziesiąt szyneli. Było to pierwsze zamówienie złożone przez naszego wschodniego sąsiada.

Dzisiaj eksport do ZSRR zajmuje czołową pozycję na liście kontrahentów zagranicznych. Innymi poważnymi odbiorcami są: NRD, USA, Kanada, Szwecja, Norwegia, Dania, Holandia, Irak, Liban, Libia i Kuwejt. Zadania eksportowe ciągle rosną, ale główny ekonomista — Zygmunt Leduchowski nie kryje niepokojów. Kontrahenci „Zety” nie nadążają z dostarczaniem potrzebnych tkanin, a zagraniczny odbiorca niecierpliwi się. Jego nie obchodzi wewnętrzne kłopoty fabryki. On chce mieć towar.

Niektórzy skłonni są sądzić, że eksport to przede wszystkim dewiza. Dla mgr inż. Waldemara Nowackiego — zastępcy dyrektora do spraw produkcji — jest to sprawa dużo szersza. Dla niego eksport oznacza przede wszystkim potrzebę rozeznania wśród wyrobów innych firm, penetrację rynków zagranicznych. Zdaje on sobie sprawę, że przy eksporcie stale się można uczyć.

MURY

— Jak poszerzyć te mury? — zastanawia się inż. Waldemar Nowacki — Gdyby można było zdobyć dodatkową powierzchnię, moglibyśmy robić więcej i pracowałoby się lepiej. A tak, latem jest tu gorąco, zimą — zimno. Poza tym ciasno. I właśnie dlatego nie daje mi spokoju ta futurologiczna zachcianka. Jak poszerzyć mury?

Cóż z tego, że na słupach podpierających stropy są kwiaty, skoro tradycyjne wentylatory zainstalowane w oknach nie mogą wypchnąć ciężkiego, suchego powietrza. Jest tu rzeczywiście ciasno i niewygodnie. Ale murów się nie poszerzy. Można tylko przeprowadzić modernizację. Wymienić stare maszyny na nowe. I tak się robi. Najpierw oddział „A” — budynek magazynowo-produkcyjny. Później oddział „B” — szwalnia. A do tego potrzebna kotłownia obsługująca oprócz „Zety” jeszcze ZPB „Walter” i wykończalnię zakładów „Fresco”. Nadwyżka pary — pójdzie do ogrzewania mieszkań w blokach.

W „Zecie” cieszą się z tego zamierzenia. Dużą nadzieję wiąże z „Programem Merkury”. Dzięki temu programowi przemysł odzieżowy otrzyma półautomaty i automaty. „Zeta” otrzyma tych maszyn wprawdzie niewiele, ale wydajność produkcji i tak podskoczy o całe 5 proc. Okazuje się, że do przemysłowego szycia potrzebny jest krawiec i nowoczesna maszyna.

ZAŁOGA

W „Zecie” pracuje 1830 osób, ale 82 proc., to kobiety. Średnia wieku wynosi 40 lat! Starsze kobiety nie mają wykształcenia, za to duże doświadczenie. Młodsze mają wiedzę, ale brak im praktyki. A ideałem jest połączenie jednego z drugim. Dlatego po prostu powołano 3-letnie Studium Zawodowe. I zaraz podniosły się protesty: że dom, że obowiązki, że po pracy akordowej człowiek marzy o odpoczynku i telewizorze, a nie o jakichś tam algebrach i wojnach punickich. Szło więc opornie. Ludzie buntowali się, kupowali podręczniki, narzekali, ale się uczyli. Kleli takie życie w żywy kamień i ku li na pamięć prawo Pascala. W końcu przywykli, coś zaczęli pojmnawać.

Po trzech latach, kiedy nauka dobiegła końca, pojawili się w dyrekturze z prośbą o przedłużenie nauki, bo chcą mieć świadectwo dojrzałości, dyplom technika. Prośba została uwzględniona i na początku przyszłego roku 50 osób z „Zety” przystąpi do matury.

Załoga jest zżyta z fabryką. Adela Żywica pracuje w „Zecie” od 1947 roku. Pamięta, kiedy w Zgierzu szły się szyniele dla żołnierzy Armii Czerwonej i płaszcze dla żołnierzy Wojska Polskiego.

— A ja przyszedłam tu, jak skończyłam 15 lat — mówi Janina Izdoreczek, prasowaczka. — Później ukończyłam Zasadniczą Szkołę Zawodową. Jak tu przyszedłam, dali mi pięciokilowe żelazko. Ledwo je mogłam utrzymać. A majster krzyczy — przedzaj i dokładniej. Teraz mamy żelazka z przyciskiem pneumatycznym. Prasuję plecy i rękawy. Ale w prasowni nadal jest duszno, pot leje się z człowieka...

— A ja znam wszystkie operacje, jakie są możliwe w „Zecie” — chwili się Elżbieta Bugajska. — Pracuję tu już 25 lat.

— Kiedyś szłyśmy 220 sztuk spodni — mówi Jadwiga Majchrzak — a teraz 550 na jednym zespole. A takich zespołów mamy trzy. Mnie podlega 176 osób, w tym 3 mężczyźni. Pracuję tu już 35 lat, zaczęłam jeszcze za okupacji.

Każdy swoje przeszedł. Ja też byłem początkowo rocznym prasowaczem — dodaje Stanisław Adamczyk — a dziś odpowiadam za pracę 114 ludzi.

— Ja też — uśmiecha się Henryk Piatkowski — zaczynałem od prasowacza. Teraz jestem w najlepszym zespole, szyjemy ubrania na eksport. Przez ten czas ukończyłem 3-letnie studium, niedługo maturę, no i awansowałem.

Pracę trzeba polubić i zrozumieć. Wówczas stosunek do niej jest zupełnie inny — mówi I sekretarz OOP, brygadzieta Zygmunt Smoleń. Każdy musi być najpierw szeregowcem, by móc zostać generałem. Zaczynałem od podprasowacza, potem byłem brakarzem, w końcu awansowałem na brygadziestę. Ale zawsze do obowiązków podchodziłem z powagą.

— Ale też trzeba chcieć. Często przyjdzie taka, pokreśli się, coś tam spróbuje robić i zaraz ucieka — dodaje Jerzy Nowak — Fach krawiecki wymaga cierpliwości. Że praca ciężka? A która jest lekka? Zaczynałem od prasowacza, dobrałem rękawy, byłem brakarzem. Mistrzem czy brygadzieta nikt się nie rodzi.



Foto: Zbigniew W. Nowak

ANDRZEJ GRUN

FILM

W PULI KREW NA ARENIE

Starorzyska arena jest główną atrakcją turystyczną Puli. Jest to zarazem miejsce, w którym co roku odbywają się publiczne pokazy konkursowe Festiwalu Filmowego. Imprezy, która co roku staje się autentycznym świętem narodowym dla jugosłowiańskiego filmu. Oprawa, jaką nadają Festiwalowi organizatorzy odpowiada entuzjastycznemu przyjęciu imprezy przez publiczność, gorącą i spontaniczną w reakcjach. Festiwal zaczyna się przepięknym pokazem ogni sztucznych — wśród wodospadów ognia błądzą się nadzieje i apetyt na kolejne noce pod gołym niebem, z wzrokiem utkwionym w pulsujący kolorowy ekran. Pokazy filmów toczą się przy grzmocie (akustyka Areny przypomina stadion w Montreale), oklasków, czasem, owszem i gwizdów, czasem tylko wpada w ucho dyskretny półgłos: Pepsi, Cola, tonic... Nikt tu nie celebrowa nadmiernie szacunku dla sztuki — traktuje się ją jak dobrego znajomego, a nie jak Nadprzyrodzoną Moc.

Zakończenie Festiwalu uświetnia swoją obecnością Prezydent Tito. Przybywa ze swojej siedziby na Wyspie Brioni (to niedaleko), ślady w łóż z żoną i kilkoma reżyserami, jest opalony i przystojny, a jarzenie się ogromnego cygara w jego ustach wyznacza rytm zainteresowania się filmem. Jego obecność nie wywołuje spontanicznej reakcji na film — raczej podnosi temperaturę na widowni. Zwłaszcza, że na tę okazję wybiera się „coś lepszego”. W tym roku był to głośny już i słusznie, film „Zamach w Sarajewie”.

Jeśli do tego dodamy tegoroczne atrakcje extra w postaci burzy nad Areną — przy okazji sprawdzono możliwość szybkiego rozładowania tłoku — zrozumiemy dlaczego Festiwal jest sprawą ważną dla kultury jugosłowiańskiej, a osobistą wręcz dla stałych mieszkańców Puli. Ta zewnętrzna, towarzysząca oprawa, ma dla Festiwalu ogromne znaczenie, buduje ogólny nastrój i wciąga bez reszty w tok wydarzeń filmowych. To jeden z nurtów, sumiennie organizowany i kontrolowany dyskretnie przez organizatorów. Drugi nurt — to oficjalny konkurs, oceniany przez jury; trzeci nurt — to czarna giełda krytyków i publiczności. Bardzo często opinie jury, krytyków i publiczności różnią się między sobą; śmieć twierdzić, że to głównie ten podskórny nurt opinii publicznej wystawia filmom przepustki do sławy, nie zaś opinie jury.

Tegoroczny konkurs obejmował 16 filmów pełnometrażowych. Tylko szesnaście, bo wytwórnie przeżywały pewne kłopoty. Są to kłopoty zarówno merytoryczne — brak ciekawych scenariuszy o tematyce współczesnej — jak i wręcz finansowe, kto wie czy nie spowodowane po

części przez zamykanie do wielkich, kosztownych, historycznych lub kostiumowych epopei. Skąd my to znamy, ach, skąd?

Wśród wyświetlanych filmów ośmiem odnosiło się do historii, sześć było współczesnych, głównie obyczajowych, i dwa filmy były adaptacjami klasycznej literatury. Jeden był filmem dla dzieci, drugi zupełnie nie dla dzieci. Tak to wygląda w lekko uproszczonej statystyce. Uproszczonej, bo filmy dotyczące ostatniej wojny traktują w kategorii filmów historycznych, tym bardziej że i twórcy zdają się tak mniemac, sądząc po pogardzie dla ścisłości i wiarygodności szczegółów i fabuły i psychiki bohaterów.

Przewaga filmów historycznych sprawiła, że nad Areną Festiwalu zawisło krwawe widmo okrucieństwa. Łała się strumieniami krew, upuszczana bohaterom w przerożny wymyślny sposób, przy akompaniamencie wrzasków, jęków (patrz uwaaga o akustyce) i zdumiewających efektów pirotechnicznych. Tego rodzaju dominanta byłaby usprawiedliwiona, gdyby zawartość myślowa filmów odpowiadała lepszej ilości krwi na ekranie. Może zresztą wrażenie nie byłoby tak silne, gdyby nie reakcja publiczności — uszczęśliwionej, kiedy to „nasi” celną ripostą, nożem, pięścią lub serią likwidują niebezpieczeństwo. Ten komiksowy charakter odbioru narzucał się już najwyraźniej twórcom. Coraz trudniej znaleźć w epice dawniejszej i wojennej problematyki i przemyslenia, coraz więcej na ekranie sprawnych fizycznie manekinów, działających bez motywacji, albo wbrew motywacji psychicznej — coraz mniej pełnych, prawdziwych ludzi. Tylko dwa filmy z tej grupy chlubić się wyróżniały: słoweński „Med strachem in dolnostjo” (Miedzy strachem i powinnością), reżyserii Vojko Duletica, oraz „Najdolgij pat” (Najdłuższa droga), macedoński film reżyserowany przez Branko Gapo.

„Miedzy strachem a powinnością” to mój zdecydowany faworyt — także pirotechniczny i okrutny, ale fascynujący ponadczasowym i ponadnarodowym ujęciem problemu. To film o ludziach prostych, pilnie uprawiających swój ogródek, o ludziach, nad których głowami przetacza się wielka wojna, a o których mienie, życie i duszę toczą się nieustanne przetargi. Argumentem jest zawsze gwałt, grabież, przemoc. To film o szantażu moralnym, o roszczeniu sobie prawa własności do człowieka bezbronno. O konieczności wyboru pod groźą trudnej śmierci. O zawiązanym człowieczeństwie. Film to przepięknie sfotografowany przez Kiro Babiłowskiego. Niestety, przeszedł niezauważony, wśród bardziej efektownych produkcji prestiżowych. Szkoda.

W grupie filmów współczesnych wyróżniły się dwa: „Cuvar plaže u zimskom periodu” (Strażnik plaży w zimie), reżysera Gorana Paskaljevića, i „Poznajete li Pavle Plesca” (Czy znacie Pawła Plesca?) w reżyserii zespołowej. Ten ostatni film osnuty legendą w równym stopniu jak ongiś nasz „Rejs”, jest bardzo sympatyczną opowieścią z życia budowlanych i tramwajarzy. Malowniczy opis obyczajów, humor, temperament — to budzi sympatię i zainteresowanie, ale czy zasługuje na legendę? Te same zalety ma też „Strażnik plaży”, ale może się jeszcze pochwalić interesującym brzmieniem problemem. Ten film, to próba odpowiedzi na pytanie „Jak żyć, żeby żyć inaczej”. Inaczej niż dorodzi, bez uwarunkowań i konformizmu. Ciekawy film o kształtowaniu się świadomości o zbuntowanym młodym człowieku.

Zastanawiające, dlaczego humor, pogodę, mądrość życiową, pozytywny stosunek do życia i do bliźniego swego zachowują twórcy jugosłowiańscy wyjątkowo dla filmów współczesnych. Filmy historyczne, i te dawne i te wojenne są z tych cech całkowicie wyprane. Postacie bohaterów są tylko po to, aby wydarzenia fabuły mogły się toczyć, obracać się po to, aby uderzyć po oczach przepychem krwawych igrzysk. A w nagrodzonej niestety, ciężkostrawnej adaptacji klasycznej literatury słoweńskiej, Ivana Cankara „Idealista”, bohater tytułowy jest niemal od początku do końca jednolicie żalonym strzępem człowieka, obarczonym wszystkimi grzechami głównymi przeciw życiu. Jest ponury, tchórzliwy, słaby. W dodatku nic z tego filmu nie wynika, jest zimny i obojętny, nieaktualny, przynajmniej w tej wersji i w tej pretensjonalnej formie, w jakiej został podany.

Piszę z pasją o niedobrych stronach filmów z tegorocznego Festiwalu w Puli — bo widzę wspólne kłopoty i niebezpieczeństwa. I nam grozi komercjalizm, podporządkowanie się nienajlepszym gustom publiczności, aby tylko kasa się zgadzała. I my uprawiamy już niezręczny kostiumowy dyktando. I Jugosłowianie mają już swoje problemy z „Awansem” (Naivko) i „Jeziołem osobliwości” (Vojnikova Ijubav). I oni także nie mogą z wielu przyczyn trafić w punkt w tematyce współczesnej. I oni dostają nagrody za sięganie po minione sławy i chwale.

W bujnym życiu przyfestiwalowym prowadzono wiele dyskusji i rozmów, również oficjalnych. Jednym z efektów tych rozmów może będzie stała praktyka zapraszania na festiwal w Gdańsku nagrodzonego filmu z Puli. I w tym celu. Tego rodzaju konfrontacja może być bardzo ciekawa i pożyteczna.

EWA ZOFIA NAGURSKA

WSPOMNIENIA

ADAM PRÓCHNIK

Dowiedziałam się niedawno, że grupa filmowców ma zamiar zrealizować film o polskim socjaliście — Adamie Próchniku. Ten historyk, naukowiec pewien okres swej działalności związał z Piotrkowem, a przez jakiś czas mieszkał w Trybunalskim Grodzie.

W mojej książce „Z pieśni wejmuty” wspominam postać Próchnika, choć nie w sposób bezpośredni.

Wracając z Piotrkowa do Tomaszowa Mazowieckiego intensywnie przywołuję wspomnienie. Nie, ja oczywiście, Próchnika nie pamiętam. Widywałam go będąc małym szkrabem, czas najzupełniej zatarł te momenty. Moja mama jednak, przechowująca pieczołowicie autorski egzemplarz „Idei i ludzi”, musi koniecznie opowiedzieć mi wszystko. Od chwili poznania Adama Próchnika, aż po tragiczny list do cioci Ireny, powiadający o jego śmierci.

W pogrzebie Adama Próchnika mogła wziąć udział tylko mamusia. Ojciec już wówczas nie żył. Zamordowano go w Oświęcimiu. Jako żołnierza i konspiratora. Uroczystość odbyła się na ewangelickim cmentarzu, a uczestniczyli w niej tylko ci, którzy mogli się okazać względnie „czystymi” dokumentali. Bólowi po stracie bliskiego człowieka (w normalnych warunkach mogłoby być jeszcze uratowany przez lekarza kardiologa) towarzyszyła świadomość iż odchodzi bez należnego hołdu dla jego pracy i spuścizny.

Panujący wówczas „nadludzie” nazbyt interesowali się przeszłą i konspiracyjną działalnością Adama Próchnika. Był wrogiem hitleryzmu, wrogiem wszelkiej przemocy, dlatego jakakolwiek próba manifestacji mogła się skończyć tragicznie dla uczestników pogrzebu.

Z relacji wujostwa Marii i Jerzego Filewiczów, dowiedziałam się, że po wyzwoleniu, władze Polski Ludowej uhonorowały pamięć wielkiego działacza podniosłą uroczystością. Zagrali mu dźwięki chopinowskiego marsza, pokłoniły się sztachetami. Wśród pamiętek po zmarłym, przechowywują wujostwo fotografie z tej smutnej, a jakże ważnej dla historii polskiego ruchu robotniczego uroczystości.

Tak, list o śmierci męża przysłała ciocia Irena. Irena Gomolińska-Próchnikowa. Ja pamiętam mimo mgły lat. Na kliszy dziecięcego mózgu utrwaliła się w poszczególnych sekwencjach. Wiem, że mnie bardzo kochała, że o trzymywała od niej prezenty — słodycze, książeczki. Ze po aresztowaniu przez gestapo mojego ojca przyrzekała mamie podjąć w przyszłości wspólne trud- naszego wychowania. Mojego i siostry Maryni. Przyrzeczenia tego nie mogła dotrzymać. Z gipsową opaską zwierającą wargi na wieczność — odeszła. Kula hitlerowska przecięła jej czynne życie. Nikomu już nie mogła pomóc, ani społeczeństwu, ani jednostkom. Ostatni ślad po tej bohaterskiej kobiecie wiódł do Wrocławia. Tam przypuszczalnie zginęła. A tyle jeszcze chciała uczynić — dla ludzi. Realizując własny program życiowy i testament Adama.

Przedtem zanim rozkwitło uczucie, połączyła ich praca. Dla ludzi... Nie bez logicznego związku ukształtowały się losy tych dwojga, aby w którymś punkcie połączyć się i już dalej wspólnie toczyć. Wspólnie, bo wspólnota ich życia wypływała nie tylko z przyjęcia przez ciocię znanego w Polsce nazwiska. Płynęła przede wszystkim z bardzo wyraźnego, krystalizowanego celu działania. Dla ludzi... Naturalnie, aby stać się ukochaną, ostatnią żoną Próchnika, musiała ciocia oprócz urody i inteligencji posiadać własne zbliżony światopogląd i tę samą co on pasję działania.

Ciekawy jest zresztą rodowód sylwetki Ireny Gomolińskiej — działaczki. I nie pozbawiony rodzinnych tradycji. Wcześniej osieroconą ciocię Irenę i jej dwu braci Ryszarda i Jerzego, wychowywała znana z działalności oświatowej i społecznej ciocia — Maria Gomolińska. Współpracownica Stefania Sempołowskiej, wspomniana jest w pracach — Hanny Mortkowicz-Olczakowej i Dionizy Wawrzykowskiej-Wierciłochowej. Pisząc „Wejmutkę” poszukiwaliśmy źródeł poświęconych tej interesującej postaci. Obszerną notatkę biograficzną odnalazłam w Informatorze Biblioteczki i Księgarza za rok 1964.

Nic też dziwnego, że Ciocia Marynia, może starszowiecka, bardzo jeszcze dziewiętnastowieczna, zaszczepiła własne idee w umysłach ukochanej trójki bratanek. Wziętna X Pawilonu, wychowała po prostu następców. Ciocia Irena w czasie wojny znalazła się w celi Pawiaka i katowni na Szucha, wujek Jurek zginął w Powstaniu Warszawskim.

Chowali się w „szklanych domach” Czerwonego Żoliborza. To wszystko musiało rzutować na zainteresowania cioci Ireny, na jej zetknięcie się z Adamem Próchnikiem, wreszcie na ich małżeństwo, bardzo dla mieszczańskich pojęć przedwojennej Warszawy nietypowe. Nie byli stworzeni do szlabonów.

Moją mamę łączyły z ciocią właśnie niekonwencjonalne względy rodzinnych układów, tylko przyjaźń, czysta, głęboka i pozbawiona egoizmu z obu stron. Przyjść trwała, aż po granicę ludzkiego życia. W naszym domu, malowniczej i sielskiej leśniczówce Konewka (dziś nadleśnictwo Spala) tych dwoje, Irena i Adam, tak przynajmniej przetrwało w rodzinnej sadze, podjęli decyzję dalszego wspólnego życia. Przyjechali bardzo zmęczeni, na krótkie wytchnienie od wyczerpującej pracy naukowej, partyjnej, publicznej. I ten dom jakże polski, też tradycyjny i nieco stroświecki, emanujący wzajemną miłością gospodarzy obudził w nich może tęsknotę do założenia własnego gniazda, przystani do której się wracać będzie z najcięższych prób jakich nie szczędzi życie. Adam Próchnik odjechał zaurzeczony spalskimi lasami. Powracali tu zresztą...

Przez krótki okres ich małżeństwa przed wojną, kontakty moich rodziców z Próchnikami nie były zbyt częste ze względu na intensywną pracę polityczną i społeczną Próchników, a ze strony rodziców przywiązanie do wielkiego bądź co bądź gospodarstwa. Lecz nawet te rzadkie wizyty, ich w Konewce, a rodziców na Żoliborzu przepojone były ogromnym wzajemnym szacunkiem, a jeśli idzie o ciocię Irenę i mamę, nieklamany uczuciem. Do dziś mama wspomina skromność wielkiego uczonego. Jego nie spełnionym marzeniem był mały domek na wsi. Domek z ogródkiem, w którym mogłoby własnoręcznie siać maciejkę i rzedę. W czasie wojny, na działce z prawdziwą dumą uprawiał jarzynę, które wzbogacały ubogie, jednostajne menu. Nawet na balkonie hodował rzodkiewki i cieszył się nimi niewspółmiernie do istotnej wartości.

Mama do dziś powtarza: — Adamowi wystarczały na książki sosnowe regały, był za to mądry. Bardzo mądry.

Oboje z Ireną nienawidzili blichtru, nie przylegał do ich pojęć. Nie mieścił się w nich. Mieszkanie mieli urządzone więcej niż skromnie. Dominowały meble z „Ładu” i grzebne lwy. Było tam jednak wielkie, czujące serce. To było ważne. To się liczyło. Jedynym luksusem tego wnętrza był portret cioci Ireny. Malował ciocię Witkacy.

Osobną kartą działalności Próchnika jest jego praca okupacyjna. I tu w ciocie Irenie miał pomocnika, towarzysza, kontynuatora. Wujostwo Filewiczowie opowiedzieli mi pełen napięcia moment, jak Niemcy przyszli z komisją w sprawie założenia telefonu, a Adam z siostrą cioci Marysi, Tolą Piwkowską opracowywał u nich właśnie tajne dokumenty i pracę z historią. Na szczęście tym razem obeszło się bez „wpadki”. Próchnik prowadził również wykłady z historii w mieszkaniu brata cioci Filewiczowej, Wojciecha Piwkowskiego.

Po śmierci męża, Irena nadal kontynuowała niebezpieczną grę ze śmiercią. Zginęła, lecz życie jej zawdzięczają liczni działacze i żydowskie dzieci.

Wiadomości o inicjatywie polskich filmowców wywarła ogromne wrażenie na mojej mamie. Z biblioteki, spomiędzy starych książek-przyjaciół wyjęła pracę Próchnika. Wzruszona przeglądała krótkie opowiadania oparte o życiorys Waryńskiego, Okrzei, Barona, Daszyńskiego.

Czytam we wstępie: „Ośia, koło której obracają się te opowiadania są wydarzenia i ludzie. Tem są zasady ideologiczne ruchu wyzwolenieckiego polskich mas pracujących, najszlachetniejsze ideały wolności człowieka i narodu, walki o socjalizm i niepodległość”.

Dla tych idei żył również autor „Buntu łódzkiego” i „Idei i ludzi”. Dla nich tragicznie zmarł.

TERESA GABRYSIEWICZ-KRZYSZTOFIKOWA

TELEWIZJA

IMPORTOWANY RELAKS

Pierwszy odcinek angielskiej serii „Święty” nadano 15 stycznia 1964 roku. Było to kilka miesięcy po sukcesach „Dr Kildare’a”, a mimo to serial ten szybko zdobył ogromną popularność.

Słynny „Święty” był, jak go wtedy anonsowały gazety — „międzynarodowym awanturnikiem, przystojnym Don Juanem, który podróżuje po świecie i wszędzie gdzie się zatrzymuje zostaje wplątany w afery przemytnicze, wielkie kradzieże lub morderstwa”. Był to człowiek o silnie rozwiniętym poczuciu sprawiedliwości, ale postępowanie jego nie zawsze było zgodne z kodeksem honorowym, nawet z kodeksem karnym. Głównym atutem filmu była postać tytułowego bohatera. Podobnie jak w filmie „Dr Kildare” zgodnie z podstawowymi zasadami konstrukcji filmów seryjnych, główny bohater był zasadniczym i w tym wypadku jedynym łącznikiem poszczególnych epizodów. Zmieniały się miejsca akcji, wydarzenia, kobiety stanowiące dekorację głównego bohatera, on pozostawał zawsze ten sam, uroczy, silny, niepokonany.

Roger Moore, syn londyńskiego policjanta, odgrywał rolę Simona Templara, zadebiutował w innym filmie serijnym, też znanym i polskiemu widzowi — pt. „Ivanhoe”. Premiera tego filmu odbyła się w telewizji brytyjskiej w roku 1959. Jednak dopiero postać „Świętego” nadana Rogerowi Moore’owi przysłużyła sławy, chociaż — jak sam twierdził — zespółła go na długo wyłącznie z tą tylko filmową postacią. „Święty” podobnie jak i „Dr Kildare” podbił serca polskich widzów.

Prowadzone w kilka lat później wśród młodzieży badania socjologiczne w następujący sposób sklasyfikowały popularność „Świętego”. „Wśród uczniów szkół podstawowych seria znalazła się zdecydowanie na pierwszym miejscu (wyższe ceniły sobie urok „Świętego” dziewczęta niż chłopcy). Wśród uczniów szkół średnich zdobył on ogólnie także pierwsze miejsce, choć w analizach szczegółowych w grupach dziewcząt i chłopców był notowany nieco niżej —

chłopcy na II miejscu a dziewczęta na III”.

Serie te, obok swoich atrakcji fabularnych i atutów głównych bohaterów, korzystały również z prawa nowości. Były to pierwsze tego typu filmy. Emitowany później inny angielski serial „Baron” nie uzyskał już takiej popularności, mimo że miał również atrakcyjną fabułę.

Historia filmów z dzikiego zachodu zaczęła się od młodzieżowej serii „Złamana strzala”. Dopiero później i z przeznaczeniem również dla starszej widowni zaczęto nadawać „Bonanza”. Odkryła ona zdecydowanie od tradycyjnego schematu. Nie było tu jednego bohatera łączącego poszczególne odcinki. Tu była rodzina Cartwrightów. Serię tę zbudowano na zupełnie odmiennych zasadach. Zastosowano pełną dowolność uczestnictwa głównych jej bohaterów: braci i ojców. Każdy z odcinków był więc zupełnie odrębną całością. Również akcja tych odcinków działała się w różnym czasie, sięgała często wstecz w ramach rodzinnej retrospekcji. Zabił się, jak i rozbudowanie motywacji psychologicznej, niewątpliwie podniosły wartość filmu. Przestrzegano jednak zasad konstrukcyjnych westernu. Odcinek walka dobra ze złem, optymistyczny finał i zwycięstwo głównego bohatera były czynnikami, które określały ostateczny kształt każdego odcinka. Seria spotkała się z ogromnym powodzeniem.

Cieszyła się ona również powodzeniem i za granicą. Zrealizowano ponad 400 odcinków. Tak gigantycznej pracy nie wytrzymali wszyscy, którzy kreowali postaci bohaterów „Bonanza”. A w członków rodziny Cartwrightów wcielali się: Lorne Greene, Pamela Roberts, Dan Blocker, Michael London.

Mimo prób telewizyjnych „Bonanza” była ona tylko serią premier. Nigdy nie powtarzano emitowanych już odcinków. Nie przestrzegano też zasad rytmiczności emisji. Poszczególne odcinki pojawiały się w programie w różne dni tygodnia i o różnych porach. Najczęściej w niedzielne popołudnia. Powiżanie

konkretnych serii z poszczególnymi dniami tygodnia jest niezwykle istotnym zagadnieniem. We wszystkich niemal telewizjach przestrzega się określonego reżimu emisji. Zawsze tego samego dnia tygodnia o tej samej godzinie telewizorowie mogą spotkać się z ulubionym bohaterem serialu. Polska telewizja nie uwzględniała tej istotnej zasady. Szczególnie w pierwszych połowie lat sześćdziesiątych dowolność w emisji seriali była zadziwiająca.

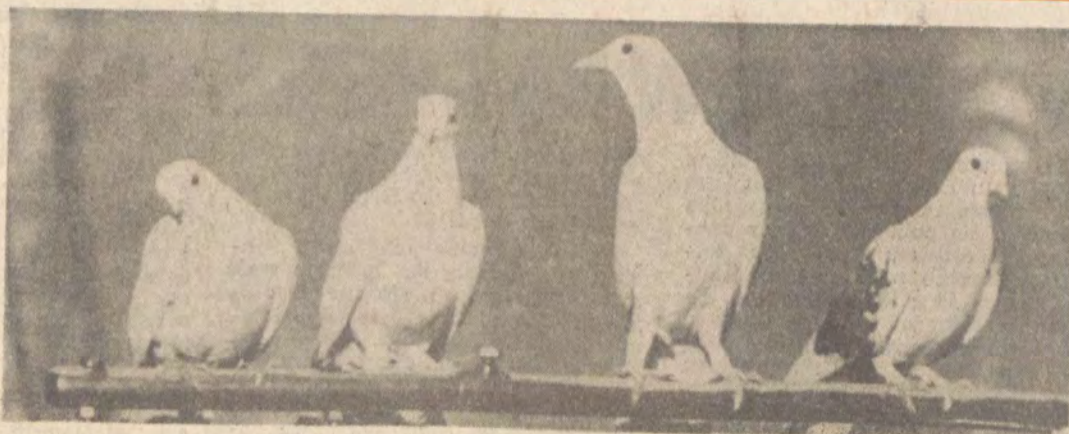
Kolejnym serialem o przygodach na „Dzikim Zachodzie” był „Dylansam przez prerię”. Kluczem były tu postacie obsługi dylansu pocztowego, które wykonując swoje obowiązki, natrafiały na rozliczne, filmowo atrakcyjne przygody. Film ten miał konstrukcję o wiele prostszą niż „Bonanza”. W 1963 roku jednego dnia nadano dwa odcinki tej serii, a następnie pokazano dopiero w rok później.

Zupełnie innym filmem serijnym niż „Święty” czy „Baron” był amerykański serial „Al Capone” czy jak podawały niektóre źródła „Nietykalni”. Treść tego serialu oparta była na autentycznych zapisach kronik policyjnych w Chicago z okresu prohibicji. O historii i popularności serialu na amerykańskich ekranach tak pisał Jerzy Topolitz:

„W „Nietykalnych” nie schodzących z ekranów telewizyjnych od jesieni 1959 roku agent FBI Eliot Ness prowadzi niestrudzoną i zwycięską walkę z gangsterami i kryminalistami. W każdym tygodniowym programie padają trupy. Świszcza kule i ktoś spazmatycznie krzyczy. „Nietykalni” zdobyli sobie bezkonkurencyjne miejsce w repertuarze. Pięć firm finansuje każdy odcinek serii kosztujący przeszło 110 tysięcy dolarów. Nikt nie żałuje wydanych pieniędzy, bo agencja notująca skrupulatnie ilość widzów nastawionych na program ABC powtarzała co tydzień te same opinie: „Nietykalni” cieszą się znacznie większym powodzeniem, aniżeli w tych samych godzinach pokazywane programy NBC (Teatr Dicka Powella i komedie z Jackiem Benny”.

Serie, o których wspomnieliśmy były oczywiście emitowane i w latach późniejszych. W latach 1964—66 pojawiły się one po raz pierwszy i wzbudzały największe zainteresowanie.

MACIEJ ŁUKOWSKI



— Dobry wieczór państwu! Witam Was serdecznie zespół Cyrku Wielkiego. Dzisiejszy wieczór spędzimy w towarzystwie gwiazd naszej areny...

— Jak zbliża się sezon, to odczuwam niepokój. Człowiek już nie wie, co ze sobą zrobić — miota się jak zwierzę w klatce. Wszystko przestaje bawić, interesować, już bym pakował rzeczy, wyjeżdżał. Opo-
stko w cholere, ale przyjdzie kwiecień i znów zacznę od nowa.

Kulisy — garderoba aktorów. Próżno by szukać tu luster, miejsc do siedzenia, fryzjerów. Na wysy-
panej trocinami ziemi, śmierdzącej zwierzęcym moczem, we wszechobecnym kurzu i pyle, przygotowu-
ją się artyści. Wszyscy przychodzą tu w kąpielowych szlafrokach narzuconych na właściwy kostium. Ina-
czej by pomarli. Kobiety poprawiają makijaż, mężczyźni nerwowo palą papierosy. Na drucianej siatce
spokojnie czeka na swój numer wielki, bury kot z kokardą na szyi. Z boku poukładane rekwizyty.
Wszystko ma tu swoje miejsce i swój czas. W świetle 500 W żarówki strojnę mienią się wszystkimi
kolorami tęczy, migocą barwne wstążki, brokaty, cekiny. Obok krakowskich ludowych, szlacheckie kon-
tusze, kuse kostiumy pań i szerokie wiązane na piersi kaftany panów. Co chwilę ktoś uchyla kurtynę
i z niepokojem obserwuje publiczność — jaka też dziś będzie?

— Lęk? Lęk jest dopisany do tego zawodu i wleczony w kosza. Oczywiście, że można się do niego
przyzwyczaić — sprawa czasu i ciągłych treningów. Kiedy trzy lata temu w RFN, w Essen, pracowałem
na wysokości 80 m na dźwigu dla reklamy cyrku, wtedy się bałem. Ludzie wyglądali jak mrówki, a żu-
raw obracał się wokół — wtedy się bałem. Tu, na 16 m jest inaczej. Najbardziej efektowne tricki nie
wymagają wiele wysiłku. Natomiast zwykle, nie nagradzane przez nikogo brawami pozycje, kosztują
wiele zdrowia i nerwów. Zazwyczaj wychodzę bez tremy, chyba że mam jakieś kłopoty. Koledzy to z
miejscą wyczuja. Wszyscy obserwują wtedy numer w dużym napięciu.

Kulisy. Tu widać rozmyte potem szminki, krótkie sprzeczki, wytykanie popełnionych błędów — ślady
przeżytych przed chwilą emocji i nerwów. Wszędzie odczuwa się jednak dużą dyscyplinę, nieodzw-
ną, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo ludzi.

Przerwa. Orkiestra idzie na papierosa.

CYRK

— Jestem tu chyba najstarszy. Pracowałem jeszcze u Staniewskich. To był dopiero cyrk. Zadnej li-
py. Wtedy nie było szkoły w Julinku. Boso ćwiczyło się na łące. Rezygnowałem z urlopów, z wolnych
dni, żeby tylko być w kondycji. Byłem akrobatą i tresowałem lwy, niedźwiedzie no, a teraz pudle — już
nie te nerwy i zdrowie co kiedyś.

Koniec przerwy. Trzy dzwonki. Gasną światła. Orkiestra. Klowni zabawiają się monetą, która co
chwila znika, by zaraz się pojawić w kieszeni czy uchu partnera. Jeden z nich staje na tle tarczy. Noże
wchodzi w drewno w odległości 5 cm od jego głowy i ręk. Wskazuje teraz na mnie, żebym i ja spró-
bował.

— Co robiłem wcześniej? Trochę boksowałem, grałem w piłkę nożną. Klown musi mieć zdolności uni-
wersalne, wszechstronne, być żonglerem, akrobatą i czym tam jeszcze. Żeby parodiować innych, trzeba
najpierw samemu to umieć zrobić. Nie ma szkoły clownów. Można najwyżej podpatrywać innych. Naj-
wyższą oceną i sprawdzianem dla nas jest publiczność. Brawa i śmiech. Ważne jest pozbycie się tremy,
obycie z areną, kontakt z publicznością. Widz jest coraz bardziej wymagający. Nikt się już dziś nie
śmieje z kopniaka wymierzonego partnerowi w tyłek.

Jednym z największych komików cyrkowych był Szwajcar Grock. Któregoś dnia zmarła mu matka, a
wczoraj musiał występować. Zrobił to doskonale, publiczność ryczała ze śmiechu. Ja zrobiłbym to
samo. W cyrku nie ma dublerów.

Tabor wczesnym rankiem. Zaspiany mężczyzna, szeroko ziewając, nabiera wiadrem wodę. Powiewają na
sznurach pieluchy. Gra tranzystor. Pieje kogut, kura z kotem godnie przechadzają się za ogrodzeniem.

— Cyrk, to wielka rodzina i małe miasteczko zarazem, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.
To jest wspólny dom. Tu bez przerwy żyje się wspólnie. Jeżeli grupa dobrze dobierze się, to jeszcze pół bie-
dy, jeżeli nie — piekło.

— Paula! Paula! Siad, Paula! Siad. Dokąd? Siad! Brawo, brawo, Paula, brawissimo! Figa! Góra! Góra!

I tak przez dwie godziny. Nagroda — kara. Nagroda — kara. Obserwuję pracę jednego z treserów.

Pracują bez bata. Kara jest wyrażana kłapsem, albo podniesionym głosem. W czasie prób nie wolno ni-
komu zbliżyć się do klatki. Potrzebna jest zupełna koncentracja. Jeden niespokojny ruch przypadkowe-
go widza, jakiś hałas i pół godziny pracy z lwami idzie na marne. Trzeba zaczynać od nowa. Treser —
młody, zwinny, cały czas skoncentrowany.

— Jeszcze w szkole podstawowej znosiłem do domu najróżniejsze zwierzęta. Mama miała z nimi istne
utrapienie. Papużki, białe myszki, rybki w akwarium, no i jak wszyscy na Śląsku — gołębie. Jak spot-
kałem jakiegoś psa na ulicy, to nie było siły, musiał mnie odprowadzić do domu. Później szkoliliem psy
dla niewidomych. Pracowałem w warszawskim ZOO. Przy Trasie W-Z jest taki wybieg dla niedźwie-
dzi. W nocy trzeba je napędzać do klatek, żeby nie zmarły. Stróż brał do kieszeni pełno kamieni no i
napędzał. Ja bez kamieni robiłem to samo. Dziś bym już tak nie wszedł, po prostu wiem, co mi grozi.
Tresowania nie można nauczyć się. Nie bardzo jest z czego. Zwierzęta trzeba lubić. Są różne szkoły. Na
przykład Niemcy pracują z batem. Anglicy tresują tylko samym mięsem, ale trwa to bardzo długo.
Zwierzę się rozleniwia, już w końcu nie wie, za co dostaje mięso. Ja stosuję te dwie metody na prze-
mian. Nie boję się. W klatce nie ma na to czasu. Zwierzę musi czuć respekt. Jeżeli człowiek się boi, to
one natychmiast to wyczuwają. Wtedy — koniec. Jeżeli zwierzę chce mnie ugryźć, to musi się bać, że
ja go też mogę ugryźć. Inaczej zaatakuję. Poza tym trzeba wykorzystywać instynkty. Jak w stadzie. Mu-
szą być zawsze przewodnikami. Najsilniejszym. Do każdego kota trzeba mieć inny język. Jeden jest leni-
wy i trzeba go uderzyć. Drugiemu wystarczy krzyknąć. Najgorzej jak zaczynają wyczuwać, że jestem
zmęczony. Że już nie mogę krzyknąć, bo ochryplem. Czuje wtedy ból w głowie i w krtani. Wszystko
chce mi od ciągłego krzyku pęknąć, a one to czują i reagują coraz mniej. Twarz tresera odgrywa tu
bardzo dużą rolę. Czasem wlepimy w siebie ślepią, one patrzą na mnie, a ja w nich, aż któraś ze
stron musi ustąpić. No i zwykle robią to one.

Koniec występów. Cyrk układa się spać. Odpoczynek. Do następnego dnia. I tak przez cały sezon.

MAREK MILLER



U PRZYJACIOŁ SOCJALISTYCZNY WIETNAM

W obradach VI Zjazdu Pisarzy Związku Radzieckiego uczestniczył wybitny twórca wietnamski Hoang Czing Thong. Przedstawiciel czasopisma „Za rubieżem” przeprowadził z nim wywiad na temat sytuacji w literaturze Socjalistycznej Republiki Wietnamu. Oto fragmenty jego wypowiedzi.

— Czy nadal w literaturze wietnamskiej dominuje tematyka wojenna?

— Tak. Specyfiką naszej literatury jest to, że zrodziła się w okopach, wśród huków bomb i pocisków wroga. Stała się kroniką tych lat, a jej karty zapisane zostały krwią, cierpieniem i nieugiętą wiarą w ostateczne zwycięstwo. I w tych właśnie warunkach powstało wiele wspaniałych utworów, uformowała się bojowa, stale rosnąca grupa pisarzy. Mam zaszczyt do niej należeć.

Nasi twórcy także obecnie powracają w swych utworach do tematu wojny i walczącego narodu. Trzeba jednocześnie pamiętać, że chociaż przez wiele lat wojna była naszym okrutnym dniem powszednim, w tym samym czasie budowaliśmy swą przyszłość — socjalizm. Chłopi i robotnicy bronili nie tylko swych domów, pól i zakładów pracy, przelewali krew również za wolność swą socjalistycznej ojczyzny. Ten właśnie szczególnie patriotyczny znajdował odbicie w naszej prozie i poezji.

— Czy obecnie, w warunkach pokoju, zmieniły się zadania literatury?

— Rewolucyjny heroizm, który przedtem przejawiał się na froncie, zwrócił się obecnie ku pokojowej pracy. Sprzyja temu zjednoczenie kraju. Dziś głównym tematem naszej literatury jest budowa nowego życia, stworzenie obrazu nowego człowieka, który wszystkie siły poświęca socjalistycznej ojczyźnie. Przed nami pisarzami stoi więc zadanie szczególnej wagi — wykształcić w ludziach poczucie wysokiej odpowiedzialności i współudziału w dokonywających się w naszym kraju przemianach, zwalczać przejawy egoizmu i przeżytków przeszłości.

Czy oznacza to, że nie powrócimy już do tematyki wojennej? Sądę, że nie. Podobnie jak pisarze radzieccy i innych europejskich krajów socjalistycznych, również i nasi twórcy powracają — i to nie w jednym pokoleniu — do czasów krwawej agresji. Potępiając wojnę, będziemy głosić chwałę pokoju. Trzeba pisać o przelanej krwi, tysiącach ofiar, o zniszczeniach i grozie bombardowań, po to, ażeby to wszystko nigdy się już nie powtórzyło. Trzeba ukarać podżegaczy wojennych. Jednocześnie nasi pisarze będą wiele miejsca poświęcać sprawom przyjaźni między narodami i proletariackiego internacionalizmu.

ZSRR

Po długiej chorobie zmarł wybitny poeta radziecki Michał Łukonin, sekretarz ZG Związku Pisarzy ZSRR.

Urodził się w 1918 r. w Astrachaniu. Pierwsze kroki, jako poeta, stawiał pracując w Stalingradzkich Zakładach Traktorów i tam w zakładowej gazecie publikowane były jego młodzieńcze wiersze. W 1937 r. został przyjęty do Instytutu Literatury im. Gorkiego w Moskwie. Wojna przerwała studia, Łukonin zgłosił się jako ochotnik do wojska, brał udział w walkach na froncie, był korespondentem wojennym. Te lata zmagania, bolesnych przeżyć, zostawiły trwały ślad w twórczości pisarza. Był wyrazicielem rozterek i przemysłów dojrzałego pokolenia.

Pierwszy powojenny zbiór wierszy Łukonina „Bicie serca”, a wyrażający w słowach prostych tragedię i bohaterstwo narodu radzieckiego, ukazał się w roku 1947. Następnie opublikowany został jego poemat „Rozbójcy dzień” opiewający tym razem poezję pracy w warunkach pokoju.

Michał Łukonin oddał bez reszty swój talent sprawie pokojowej odbudowy kraju. Bohaterski wysiłk narodu, jakże inny niż w latach wojny, lecz nie mniej godny uwiecznienia, znalazł w nim poetę pełnego pasji i zaangażowania. Kolejne zbiory jego wierszy to: „Wyznanie miłośnika”, „Lata”, „Konieczność”. Oryginalny talent Łukonina, ogromna wrażliwość artystyczna postawiły go w rzędzie najciekawszych współczesnych poetów radzieckich.

PROBLEMY „PŁYWAJĄCEGO MIASTA”

Czong Tuk uważnie śledził odbłask światła w wodzie jak gdyby pragnąc odczytać w nim swoją przyszłość. Niejedno pokolenie Czongów strawiło życie na wodzie. Jego przodkowie mieszkali w dżonkach dużo wcześniej nim przyszli Anglicy, żeby przekształcić Hongkong w swoją kolonię.

Wszelako wody omywające Hongkong są coraz mniej zasobne w ryby, połowy nie mogą już zapewnić egzystencji „kolonii na dżonkach” i dlatego też wielu rybaków porzuciło łódzie-mieszkania szukając pracy na lądzie.

Dwie godziny przed wschodem słońca rodzina Czonga wypływa na morze. Na pokładzie dżonki mieszka: jego 80-letnia matka, żona, czterech synów, trzy córki i czworo wnucząt — w sumie 14 osób. Każdy członek rodziny, z wyjątkiem chorej na reumatyzm babci i najmłodszych dzieci, wykonuje określone obowiązki.

Wkrótce po zapadnięciu nocy Czong zatrzymuje swoje czółno i w jemu tylko wiadomy sposób — doświadczenie rybaka — stwierdza że tutaj właśnie jest ryba. Dwóch starszych synów zapala duże okragłe lampy, które podwieszają pod obu burtami dżonki, żeby przyciągnąć ryby. Tymczasem cała rodzina zasiada do kolacji, a następnie znów zabiera się do pracy.

Jednakże połów nie był wielki i Czong postanowił zmienić miejsce. Synowie znów zarzucają sieć. Kobiety uderzają pałkami po wodzie strasząc ryby i zmuszając je tym samym do płynięcia w pożądanym kierunku. Tym razem połów jest większy. Ową namiętną rybaków powtarza się nieustannie w przeciągu następnych godzin.

W kierunku hongkongskiego portu zdążył pod pełnymi żaglami chińska dżonka, Czong ze smutkiem kiwa głową, wie bowiem, że ta chińska łódź swobodnie płyłaby do Hongkongu, podczas gdy on musi otrzymać licencję zezwalającą na pływanie po wodach chińskich.

Władze ChRL zezwalają hongkongskim rybakom na połowy ryb na wodach chińskich, lecz w zamian znaczna część połowu muszą oni odsprzedać miejscowej komunie rybackiej leżącej na granicy z Hongkongiem. Jeśli rybakowie zatają licencję lub spróbują zataić przed komunią ilość złowionej ryby, ryzykują aresztowaniem przez chińską służbę ochrony wybrzeża, która też konfiskuje cały połów.

Ponad 70 procent rybaków hongkongskich posiada licencję zezwalającą na łowienie ryb w przybrzeżnych wodach chińskich. Większość rybaków prowadzi połowy w stumilowej strefie, wzdłuż wybrzeży chińskich. I chociaż wody chińskie

obfitują w ryby, połowy są bardzo drogie.

Żeby otrzymać roczną licencję właściciel łodzi musi pozostawić w komunie taką ilość ryby, jaką ustaliła władze chińskie. Wprawdzie rybacy hongkongsjscy otrzymują za ryby pieniądze, ale w chińskiej walucie, której nie można wymienić poza granicami Chin. Tak więc niezależność za ryby pozostaje niejako na koncie bankowym komuny chińskiej, i tam, praktycznie rzecz biorąc, można je wydać na kupno sprzętu rybackiego czy też produktów żywnościowych.

Rybacy, którzy przestrzegają te prawa mogą żyć względnie spokojnie, ale ci, którzy je naruszają, narażają się na ogromne nieprzyjemności. Któregoś dnia, pewien rybak, próbując znaleźć miejsce bardziej obfite w ryby, wypłynął poza rejon objęty zezwoleniem licencyjnym i prawie natychmiast został aresztowany. Oczywiście, skonfiskowano mu cały połów.

Istnieje jeszcze jeden warunek niezbędny dla otrzymania licencji. Raz w miesiącu rybacy hongkongsjscy zgłaszają się w komunie, żeby wziąć udział w dyskusji politycznej. Informuje się ich o aktualnej sytuacji w Chinach, a nieraz zaprasza do udziału w dyskusji nad bieżącą kampanią ideologiczną w Chinach. Czong powiedział, że w 1974 roku podczas takich spotkań podnoszono od czasu do czasu sprawę kampanii krytyki Konfucjusza i Lin Piaa. Wielu ludzi chodzi na takie dyskusje tylko dlatego, żeby pozostawać w dobrych stosunkach z władzami komuny.

Istnieją także i inne problemy ekonomiczne. Mały, jednorodzinny zagłowiec rybacki staje się coraz mniej efektywny. Alternatywą jest nabycie dużego, dobrze wyposażonego trawlera, zdolnego do operowania zarówno na chińskich wodach przybrzeżnych, jak i na międzynarodowych, będących poza obrębem chińskiej jurysdykcji. Ale jest to zbyt wielki wydatek i wielu rybaków musi „wysić na brzeg”.

Hongkong — „pływające miasto” — składa się z wielu wspólnot narodowościowych. Jego mieszkańcy przez całe tysiąclecia rozdziłi się, żenili i umierali na dżonkach. Jednakże ostatnimi laty, jak wskazują na to dane departamentu i gospodarki rolnej i rybołówstwa, tendencja przesiedlenia się na brzeg stopniowo wzrasta. Obecnie liczba łodzi wynosi 5400, podczas gdy w 1964 roku było ich około 10 tysięcy. Łącznie z tym gwałtownie spada i liczba rybaków.

Ale i ci, którzy zerwali z tysiącletnimi tradycjami i przesiedlili się na brzeg, nie poprawili sobie warunków życia. Większość byłych rybaków gnieździ się w brudnych, zatłoczonych, miejskich lepiankach Hongkongu i ledwie wiąże koniec z końcem.

JERZY CZECH

NOWA OCENA BOMBARDOWAŃ ATOMOWYCH

Grupa japońskich uczonych, pragnąc wnieść swój wkład w dzieło walki o zakaz użycia broni jądrowej, opracowała sprawozdanie o obecnym stanie zdrowia ludzi, którzy przeżyli tragedię w Hirosimie i Nagasaki, a także uściśliła liczbę zabitych — ofiar wybuchu obu bomb atomowych.

Długi czas liczbę zabitych w Hirosimie oceniano różnie, dane przede wszystkim zaniżano. Japońscy uczeni doszli do wniosku, iż najbardziej ścisłą ocenę skutków eksplozji bomb dawano zaraz po wybuchu atomowym.

Dane zebrane przez władze miejskie Hirosimy w okresie od 10 sierpnia do 31 grudnia 1945 roku świadczą, iż w 1945 roku, w wyniku bombardowania atomowego, zginęło 119 tysięcy osób (w momencie wybuchu bomby atomowej liczba mieszkańców miasta wynosiła 320 tysięcy), a 79 tysięcy odniosło rany lub zostało trwale okaleczonych. Jednakże liczby te nie obejmują zabitych robotników, którzy przybyli do Hirosimy z różnych krańców kraju żeby uprzątać gruzy, jak również nie wzięto pod uwagę losu dzieciaków tysięcy wojskowych przebywających w tym czasie w mieście. W obecnie opracowanym sprawozdaniu liczba zabitych w Hirosimie

wskutek bombardowania atomowego, z wzięciem pod uwagę wszystkich grup ludności, ocenia się na 141 tysięcy osób. A zatem blisko połowa całej ludności miasta.

W 1946 roku, mniej więcej, 10 tysięcy osób zmarło w wyniku odniesionych ran lub choroby popromiennej. Nawet w ostatnich latach śmiertelność wśród osób którym udało się przeżyć bombardowania atomowe wynosi około 15 na tysiąc rocznie, co blisko dwukrotnie przewyższa średnie liczby krajowe.

Liczba zabitych w centralnym rejonie miasta była wyjątkowo wysoka. Spośród osób, które znajdowały się w promieniu jednego kilometra od centrum wybuchu zginęło ponad 80 procent, a spośród tych które znalazły się w promieniu dwóch kilometrów — około 60 procent.

Jak wynika ze sprawozdania uczonych japońskich, w wyniku atomowych bombardowań w Hirosimie i Nagasaki w 1945 roku, zginęło ogółem 220 tysięcy osób z ogólnej liczby mieszkańców obu miast — 570 tysięcy. Jeśli do tej liczby dodać zmarłych wskutek choroby popromiennej, to ogólna liczba ofiar tych dwóch bombardowań atomowych wynosi ponad 250 tysięcy osób, co znacznie przewyższa wcześniej podane liczby.

Ludzie którzy przeżyli bombardowanie atomowe są bardzo zaniepokojeni o los swych dzieci, niedawno bowiem wykryto wypadki leukemii wśród drugiego pokolenia ofiar bombardowania atomowego w Japonii.

J. C.

CZYŻBY NOWY OKRES LODOWCOWY?

Wielu uczonych wyraża zgodny pogląd o zbliżaniu się nowego okresu lodowcowego, brak tylko zgodności co do jego terminu oraz następstw.

Niektórzy klimatolodzy, którzy badają pył wulkaniczny, precesję osi obrotu ziemi, roczne stopy drzew i promieniowanie słoneczne, dochodzą do wniosku, iż po 10 tysiącach lat stosunkowo ciepłego klimatu, na kulę ziemską może nastąpić silne ochłodzenie. Jeśliby uczeni mieli rację, to pod pokrywą lodową znajdą się takie kraje, jak Nowa Zelandia, Anglia, Kanada, Nepal... a Francja — pod względem warunków klimatycznych — będzie przypominać północną Szwecję.

Zdaniem innych uczonych na Ziemi nastąpi tylko niedługi okres zimnego klimatu, podobny do małego okresu lodowcowego, który ogarnął Europę w latach 1430—1850. I tak, w 1431 roku zamarzyły wszystkie rzeki w Niemczech, a w początkach XVII wieku nastąpiło gwałtowne ochłodzenie w rejonie, w którym leży znana francuska miejscowość wypoczynkowa Chamonix.

Uczeni z uniwersytetu Wisconsin (USA) uważają, iż zmiany klimatyczne w ostatnich czasach są związane z zanieczyszczeniem środowiska. Zdaniem uczonych niedawna kata-

strofalna susza w Afryce była następstwem zwiększenia się ilości pyłu wytworzonego w sposób sztuczny.

Klimatolodzy, którzy nie podtrzymują teorii stopniowego ochładzania się Ziemi podkreślają, iż na przestrzeni lat siedemdziesiątych w większej części Europy temperatura utrzymywała się na poziomie powyżej średniej, a pokryte lodem przestrzenie w Arktyce i opady śniegu w północnej części półkuli zmniejszyły się w przeciągu ostatnich lat. Ci, bardziej optymistycznie nastawieni klimatolodzy przypuszczają, że nowego okresu lodowcowego należy się spodziewać nie wcześniej niż za kilka tysięcy lat.

Operując się na przypuszczeniu, że roczne śniegi w pniach drzew wyrażają „charakter” klimatu, uczeni coraz „głębiej wnioskują w pomroki wieków”. I tak na przykład, w specjalnym laboratorium w Stanie Arizona (USA) opracowano wykres zmian temperatury w miesiącach letnich w okresie ostatnich 5 000 lat!

Istnieją dwie teorie dotyczące charakteru następowania okresów lodowcowych w przeszłości. Zgodnie z jedną teorią pokrywa lodowa rozprzestrzeniła się stopniowo, a według drugiej następowo szybkie zwiększanie się ilości opadów w postaci śniegu oraz wydłużanie okresu zimy.

(J. C.)

■ GŁOS 86 KRAJÓW ■ A JEDNAK GERALD FORD

Konferencja na szczycie krajów niezaangażowanych, której obrady toczyły się w Kolombo, zakończyła się przyjęciem dwóch podstawowych dokumentów: deklaracji politycznej i deklaracji gospodarczej oraz blisko 30 rezolucji. Postanowiono także, że następna, szósta konferencja odbędzie się w 1979 roku w Hawanie, a więc po raz pierwszy na kontynencie amerykańskim. Przyjęto ponadto do wiadomości zaproszenie Iraku, aby siódmy szczyt odbył się w Bagdadzie.

Deklaracja polityczna odzwierciedla jednoznacznie stanowisko 86 krajów (ostatecznie delegacje tylu krajów brały udział w konferencji) na niektóre najważniejsze problemy współczesnego świata.

Za wydarzenia największej wagi od czasu konferencji w Algierze w 1973 roku uznano zwycięstwo narodu wietnamskiego nad amerykańskimi interwentami, sukcesy narodów Kambodży i Laosu, uzyskanie niepodległości przez Angolę, Mozambik, Gwineę-Bissau i kilka innych krajów oraz wzrost prestiżu Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Uczestnicy konferencji odnotowali z zadowoleniem postęp w procesie odprężenia między Wschodem i Zachodem i wyrazili przekonanie, że

Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie przyczyni się do dalszego spadku napięcia i ułatwi odprężenie militarne. Jest to konieczne, gdyż w różnych częściach świata rozwijającego się dochodzi wciąż do aktów agresji, ma jeszcze miejsce dyskryminacja rasowa i występuje wysoki gospodarczy Solidarność krajów niezaangażowanych i ich współpraca ze wszystkimi siłami pokojowymi i postępowymi pozwala „skutecznie walczyć z imperializmem, starając się desperacko odzyskać teren, który utracił w ostatnich latach”.

Deklaracja polityczna, jak można było przewidywać, odnosiła się do sytuacji w rejonie Oceanu Indyjskiego. Uczestnicy konferencji wyzywają do likwidacji baz obcych wojsk w tym rejonie i ustanowienia tam strefy pokoju.

W drugim podstawowym dokumencie — deklaracji gospodarczej podkreślono, iż zwiastuje się zjawiska ekonomiczne z politycznymi, grabieżcze metody działalności gospodarczej koncernów międzynarodowych i codziennie fakty naruszania suwerenności krajów rozwijających się. Trwałe rozwiązanie nabrzmiałych na świecie problemów gospodarczych może nastąpić tylko na dro-

dze zasadniczej przebudowy obecnych stosunków ekonomicznych, ustanowienia nowego ładu, którego domagają się kraje niezaangażowane.

Konferencja w Kolombo wykazała jednomyślną polityczną i ekonomiczną wspólną dążenie do pokojowego rozwoju stosunków międzynarodowych i zniesienia wszystkich form wyzysku gospodarczego.

Wagę tego głosu podkreśla fakt, że zgromadzeni w Kolombo przedstawiciele krajów niezaangażowanych reprezentowali połowę ludności świata i dwie trzecie państw członkowskich ONZ.

Przeniesienie się teraz z Azji do Ameryki — do Stanów Zjednoczonych, gdzie w ub. tygodniu zakończyła się konwencja partii republikańskiej. Jej nominację otrzymał Gerald Ford. Będzie więc w listopadowych wyborach ubiegać się o stanowisko prezydenta. Towarzyszyć mu będzie Roland Dole, kandydujący na wiceprezydenta. Ich rywalami są jak już wiemy od lipca, Jimmy Carter i Walter Mondale, desygnowani przez partię demokratyczną.

Trudno dziś oceniać szanse obu kandydatów. Za republikańskim prezydentem FORD, za demokratycznym szybko zdobyła popularność Carter. Różnice w programach wyborczych obu partii prowadzą się tylko do polityki wewnętrznej. Republikanie na

przykład wysuwają na czoło walkę z inflacją, podczas gdy demokraci — likwidację bezrobocia i rozszerzenie opieki lekarskiej. Nie ma natomiast różnic w programach polityki zagranicznej — oba zakładają kontynuację odroczenia.

W dotychczasowej kampanii wyborczej dwa zjawiska zasługują na szczególnej uwadze — omawiana już na tym miejscu błyskawiczna droga w górę Jimmy'ego Cartera oraz wyeliminowanie dwóch kandydatów, którzy kapital polityczny chcieli zbić na uszytywnieniu polityki zagranicznej: Jacksona z partii demokratycznej i Reagana z partii republikańskiej. Pierwszy odpadł jeszcze w przedbiegach, drugi przegrał dopiero przed kilku dniami — na samej konwencji.

Oba te przypadki wskazują jednak, że większość w dwóch rywalizujących partiach odrzuca możliwość zwrotu w polityce międzynarodowej i walczenia na drogę zaostrzenia sytuacji światowej, do czego w istocie sprawdzały się programy wyeliminowanych kandydatów. To pociesza. Świadczy bowiem o tym, że odprężenie staje się zjawiskiem trwałym.

W kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych będzie teraz z pewnością pewna przerwa, po której pociągnie się ona z całą siłą. Przerwa jest szczególnie potrzebna republikańcom — na zalecenie ran po zacieklej walce o nominację, która podzieliła partię.

W. ŚLAWSKI

TRENERZY I ZAWODNICY

Dość dawno temu dostałam list od Czytelnika. Było to w okresie, kiedy metody postępowania Huberta Wagnera — trenera kadry narodowej siatkarzy — budziły liczne kontrowersje. Ową Czytelniczkę zwracał mi w ostrej formie uwagę, że tyle się mówi o trenerze, a bardzo mało o... zawodnikach. A przecież to oni występują na boisku, oni grają i oni albo wygrywają, albo przegrywają. Jest to — oczywiście — prawda. Ale — powiedziałabym — nie cała prawda.

Trudno jest porównywać popularność piłki nożnej z popularnością siatkówki. Piłka nożna była u nas popularna nawet wtedy, kiedy nikomu jeszcze nie marzył się złoty medal olimpijski i srebro w mistrzostwach świata. Piłka nożna pozostała nadal popularna, mimo że piłkarzom nie poszło tak znakomicie, jak poszło siatkarzom. I trudno się temu dziwić. Po prostu o gustach kibiców, tak jak o wszelkich gustach nie należy dyskutować. Takie są i konie, czy to jest komus podobna, czy nie.

Obaj trenerzy, Kazimierz Górski i Hubert Wagner niemal jednocześnie złożyli rezygnacje. Obaj zresztą je zapowiedzieli wcześniej. Obaj uznali, że zrobili swoje i czas ustąpić miejsca komuś innemu. Jest to naturalne i nikogo nie powinno dziwić. Mnie też to nie dziwi. I nie mam wcale zamiaru rozstrząsać tych decyzji. Nie mam też zamiaru przeciwstawiać sobie obu trenerów, choć byłoby to niezwykle atrakcyjne. Ale zdaję sobie też doskonale sprawę z tego, że byłoby to daleko idącym uproszczeniem, mimo że porównania nasuwają się same.

Nie o trenerach chcę pisać, a o zawodnikach. O ich stosunku do trenera i celów, jakie im powinny przyswajać w codziennym sportowym trudzie. Huberta Wagnera nie przypadkiem nazwano katem. Nie jest to przydomek zaszczytny, ale oddający konsekwencję, upór i wysokie wymagania trenerskie. Hubert Wagner przygotował „swoich chłopców” na trudy pięćsetowych pojedynków, od początku mierząc wysoko i zdając sobie sprawę, że walka nie będzie łatwa. I nie była. Ileż to razy, patrząc na grę naszych siatkarzy, człowiek o mało nie dostawał zawalu. Hubert Wagner był wymagającym trenerem i miał liczne konflikty. Był postacią kontrowersyjną. Nie wszystkim podobali się jego metody. Toteż jego odejściu nie towarzyszyły liczne komentarze i spekulacje. Po prostu zrobił swoje; liczył na złoto i to złoto kierowany przez niego zespół osiągnął.

Kazimierz Górski wielce zasłużył się polskiej piłce nożnej. Osiągnął to, czego nikt przed nim nie osiągnął. O tym trzeba pamiętać. Ale był moment w karierze tego niezwykle popularnego trenera, który wielce zaważył na losie piłkarskiej drużyny. Było to wtedy, kiedy nie potrafił się rozstać ze „starą wiarą”, kiedy zaufał doświadczeniu „srebrnej drużyny” i zawiódł się. Niektórzy sprawozdawcy sportowi usilnie przypominali, że mistrzowie olimpijscy z Monachium i była trzecia drużyna świata przywiozła jednak z Montrealu srebro. I co by się tam nie mówiło, to srebro jest srebrem. Można i tak, ale też nie zapominać, że ta sama drużyna przegrała Mistrzostwa Europy, w których to rewalizacji okazali się piłkarze CSRS.

Kazimierz Górski dwa razy w swojej karierze trenera kadry narodowej podejmował — jak to określano — „męskie decyzje”. Za drugim razem musiał się z takiej decyzji wycofać. Można powiedzieć, że przewidział to doskonale Kazimierz Dejna, który tak ocenił swego czasu posunięcia swego trenera:

„Wydaje mi się, że trener Górski chciał wypróbować przed igrzyskami kilku zawodników. Nie rozumiem dlaczego? Wydaje mi się, eksperymetować „za pięć dwunastą” nie należy. (...) Drużyna na Montreal powinna być według mnie oparta na wypróbowanych zawodnikach...”

I była. Ale była to już zupełnie inna drużyna. Cień dawnej. Była to drużyna, która miała szczęście, że wcześniej nie spotkała się z piłkarzami NRD, bowiem wtedy i olimpijskie srebro stałoby pod znakiem zapytania.

Obaj następcy — i w piłce nożnej i w siatkówce — nie będą mieli łatwego życia. Myślę jednak, że i tu i tu można wiele zrobić. A już na pewno nie wolno zaprzepaścić dorobku, jakim się obie sportowe dyscypliny legitymują.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH

(3)

W odległości dziesięciu męskich kroków od masztu z flagami włoską i czarnogórską drzemał młody żołnierz. Niepokojący, zaniedbany żołnierz stał przy samym boku stalowego żółwia. Pobielały od kurzu i ze zmęczenia, jeszcze bardziej niepozorny pod hełmem i z bagnietem na długim karabinie, chłopak spał. Obok niego przechodzili mężczyźni, kobiety i dzieci; gdyby chcieli, mogliby zabrać i jego, i żołnierz. Pomiędzy drzewem a oknem przelatywały ptaki pozbawione życia przez upał, a żołnierze śpiewali. Wartownik trzymał ręce na brzuchu i na pasie; uśmiechał się przez sen. Dokuczały mu przekleństwa, śpiętki i muchy.

Wartownik nawet nie przeczuwał, że do czołgu zbliża się Napolitano, chuderlawy żołnierz z gitarą. Nie słyszał, jak Augusto nuci i wzdycha. Z otwartymi ustami, z wypiekami na policzkach wsłuchiwał się w swój słodki i tak czesty sen. Napolitano podszedł na palcach i ledwo dosłyszał, nie zaśpiewał tuż przy jego helmie:

Nel mio cuor rinasce un sogno d'oro...

Żołnierz drgnął. Chwył się za karabin. Spojrzył sine wargi Napolitano i przeciągle, płacząc powiedział:

— Och, Augusto. To ty, szatanie.

— Ciągłe śpiesz, Salvatore — niby to z wyrzutem powiedział Napolitano i huknął go ręką w plecy.

— Znowu mi się śniła, Augusto — rzekł smutno Salvatore. — Przerwał mi w najlepszym momencie: właśnie miałem go włożyć. Zjawili się i wszystko przepadło, a kto wie, kiedy znów zasnę.

— Nie trać nadziei, Paolone — żywo powiedział Napolitano podwijając rękaw koszuli.

— Wszystko na nic, Augusto — dodał wstydliwie Salvatore. — Głowę straciła dla Pietra. A on, biedak, widzi tylko Marię.

Napolitano patrzył na swoje długie palce przebiegające po strunach. Wartownikowi wydawało się, że coś przy tym szepce. Przysunął się do niego, zmęczony i rozszany — usta gitarzysty pełne były bólu, metalowych zębów i stłumionej piosenki:

Bolognesina mia...

Oczy Augusta błyszczały jeszcze smutniej niż przedtem. Paolone wziął go pod rękę. Poprawił na ramieniu karabin i rzekł łagodnie:

— Augusto, jak możesz tak śpiewać... od świtu do zmroku. Ja też śpiewam, właściwie mruczę pod nosem, ale tak długo nie mogę. Jak skazaniec.

Augusto Napolitano popatrzył na niego od dawna płonącymi oczyma. Patrzył długo, a potem powiedział:

— A kochasz ją? — cicho spytał Salvatore. — Tę z Bolonii?

— Nie śnię o niej — jeszcze ciszej odparł Napolitano. — Ani o tym, że go wkładam...

— To znaczy, że jest lepsza i wierniejsza niż moja Dana — powiedział jakby do siebie nagle pobladły wartownik. — Lepsza i wierniejsza — powtórzył i głosem, w którym pobrzmiewały gniew i jakieś niejasne przeczuć, spytał: — Augusto, dlaczego nie dają mi zmiany? Spalilem się w tym słońcu.

— Nie wiem — powiedział Napolitano odchodząc.

— Może całkiem o mnie zapomnieli? — spytał Paolone ze smutkiem.

— Stoisz tu, jak skazaniec...

— Dobrze mówisz — zgodził się Paolone. — To jakaś kara...

Salvatore chciał jeszcze coś powiedzieć. Augusto przerwał mu w pół słowa jednym ze swoich przekleństw.

Paolone został sam, smutny i zadumany. Nie poszedł za Augustem; patrzył za nim stojąc obok czołgu. Zawsze, gdy zaczynał śpiewać, Augusto odwracał do tyłu głowę i przekrzykiwał szyć. Odkąd go znali Paolone, Pietro i inni, jakkolwiek piosenkę zanucił, zawsze powracał do dziewczyny z Bolonii.

— Augusto — powiedział Paolone patrząc, jak Napolitano idzie na spotkanie ich wspólnego przyjaciela, kaprala Pietra. — Augusto, słyszałem, że dziewczyna z Bolonii są najbardziej zepsute w całych Włoszech. Wszyscy to mówią, nawet Bottini. Może i ta twoja, ta, za którą ciągle płaczesz, robi to co inne. Nie miej mi za złe, Augusto, ale podobno wszyscy w samej Bolonii i w okolicy, mężczyźni i zwłaszcza kobiety, robią to, co widzieliśmy na fotografiach Bottiniego.

Augusto Napolitano oddał się.

— Sprawdź no to, Augusto — zawołał za nim Salvatore. — I nie smuć się na próżno.

Gitarzysta słyszał, ale nie odwracał się. Jego zmierzowiona twarz miała wyraz napięcia i tęsknoty, podczas gdy śpiewał o dziewczynie z Bolonii. Stojąc z gitarą w ręku, czekał na Pietra.

A Salvatore Paolone przysunął się do czołgu. Spłótł ręce na brzuchu, przymknął oczy i rozwarł usta; usiłował o niczym nie myśleć wycekując, że dawny sen zacznie się na nowo w miejscu, gdzie został przerwany.

Nawet studnia nie była osamotniona: koło niej chichotała Marika. Oczywiście głucho patrzył na nią wstydliwy, ogorzały Pietro. Jakaś się: bo nie była ani mała, ani duża, ale ładna, o skończył czarnych oczach i pierśiach wyraźnie widocznych pod wojskową koszulą, ilekroć dziewczyna po-

ruszyła się i zaniosła urywanym śmiechem. Choć okno było otwarte, a dzień usłony południem, pułkownik Allegretti nie słyszał, co mówili. Tylko patrzył na nich.

— Cemu idzie tak szybko, signorina Marika, Cemu?

— *Lavorare, Pietro. Lavorare* — uśmiechnęła się pokazując sznur białych zębów. — Dużo *lavorare*.

— Ale czemu, Marika? — Pietro z drżeniem zbliżał się do dziewczyny o wąskiej talii i okrągłych kolanach. — Pójdź ze mną i nie pracuj.

— *Domani* — Pietro — dziewczyna nachyliła się, żeby podnieść dzban z wodą. — *Jutro, caporale*?

— Jutro nie jestem żywy — kapral spojrzął na nią dużymi, smutnymi oczami. — Jutro komplikacje: komunisci, karabin, bumbum. Ja umrę jutro, Marika. Czarnogórcy nie ma dobrze — *ammazzare* — Pietro. A Pietro nie lubi karabin, nie lubi wojna.

Dziewczyna chciała mu coś powiedzieć, ale onieміała spostrzegłszy, że wysoki, ościęzły, może pięćdziesięcioletni mężczyzna bezszelestnie podszedł do studni i zaczął myć ręce.

— Marika moja — zawołał błagalnie kapral. — Ja mówię prawdę. Ja *Sardo*?

— Ja wielkie komunista, Marika moja — szepnął kapral. — Niebezpieczne komunista. Nie spieszy się tak! — Właśnie dlatego cię nie chce, Pietro.

— Nie mam komunista — szybko się polapał zawstydzony żołnierz. — Nienawidzi komunisty, Marika, proszę...

— To ci też nie pomoże, *soldato* — Marika szuka miłości. *Amore*, Pietro, *amore* i *cuore*. A teraz idź, mały diable, ludzie gotowi Bóg wie co pomysł.

— Ja mam miłość, Marika moja — zaplatał się kapral. — Dużo miłości i serce... serce wielkie... Nie chodzi! Pietro ma dwa serce...

— Choćbyś miał trzy, to dla mnie na nic — powiedziała dziewczyna wyginając się w pasie.

Pietro stał jak wryty pośrodku placu i patrzył za nią; niosąc dzban z wodą, kołysała się gorsząco.

Ostrożnie, tak żeby go nie dostrzegł szpieg, którego dzisiaj za nic nie chciał przyjąć, pułkownik odchyłał firankę. Za czołgiem widział nieruchomego Pietra i Marię idącą z dzbanem na głowie. Nie odrywając od niej oczu, pułkownik szepnął w głębi ducha: nie dla ciebie ten kasek, mój mały kapra-

uodziej twarzą. Szybko nalewał do kieliszków, żywo rozmawiając z cywilami i żołnierzami. Na tej ptasiej głowie uwydatniały się przede wszystkim czarnogórski orli nos i duże czarne oczy, to nieprzyjemnie wesołe i drwiące, to łagodne i zabójczo smutne.

Pietro Portulu spoglądał na niego. Właściciel karczmy dobrze znał kaprala i jego gust, podał pół litra rakii, przywitał go, przypomniał o długim i zniknął w ścisisku.

Kapral odsunął kieliszek i pociągnął z butelki. Cywile i żołnierze ze zdumieniem patrzyli, jak tam i z powrotem chodził mu grdyka. Podczas gdy tak pił bez przerwy, śnił się z niego ci, którzy widzieli, jak niedawno gonili za Marią, a potem moczył i chłodził rozpaloną głowę, i ci, którzy nie wiedzieli, czemu jest taki nieszczyśliwy ani dlaczego tak i tyle pije.

Gdy duszkim wypił gorzką śliwkową truciźną, a przez karczmę przeleciało westchnienie pełne podziwu i zdumienia, Pietro Portulu zamglony oczyma nieboszczyka spojrzął na gospodarza i na ściany karczmy. Jakby w olśnieniu zauważył, że na ścianach nie ma ani królów, ani ich rodzin, ani nawet Mussoliniego. Przypomniał sobie, że inne karczmy są ich pełne, obwieszone portretami osamotnionej królowej Jeleny, zadumanego markotnego króla Wiktora Emanuela, mężnego i okragłego Duce. Ten karczmarz na ścianach miał tylko fotografie półnagich i całkiem obnażonych kobiet, gwiazd filmowych i innych, wielkich i sławnych kochanków, jeźdźców i awanturników.

Pietro jeszcze raz popatrzył na to wszystko z uśmiechem lunatyka. Gołizna, jaką obwieszona była niemal cała ściana za bufetem, przypominała mu kołysanie się ciała Marii, jej piersi i bioder, więc jękliwie zamachnął się i rzucił butelką w ścianę. Nie słyszał trasku szkła ani piąkających pokrzykiwań żołnierzy. Ręce opadły mu wzdłuż ciała, czołem huknął o zimny i mokry blat stołu.

Wszystkie ściany obwieszone były słodką, haniebną gołizną.

☆ ☆ ☆
Pułkownik Allegretti lubił się chwalić, że zna właściciela tej karczmy. Oficerom, którzy przybyli do miasteczka później, opowiadał, jak go poznał; jego poprzednik i stary przyjaciel, pułkownik Fabiani, pokazując mu karczmarza powiedział:

— Tego się strzeż, Spartaco.

— A czemu właśnie tego? — spytał pułkownik Allegretti. — Może są tu inni bardziej niebezpieczni.

— Tacy są gotowi na wszystko — rzekł pułkownik Fabiani patrząc z ukosa na niepozornego mężczyznę za bufetem. — Bądź pewny.

— Radzisz więc, żeby się nim zajął w wolnych chwilach? — Allegretti podniósł kieliszek rakii.

— Tak, zajmij się tym, czego ja niestety już nie zdążę zrobić — uśmiechnął się wesoło Toskańczyk. — Mam jednak nadzieję, że w Grecji znajdzie mnóstwo podobnych okazów. Czarnogórcy i Grecy mają wiele wspólnego.

— A co na przykład, Enzo? — Allegretti napenił kieliszki.

— Swego rodzaju potrzebę wyróżniania się — rzekł Fabiani.

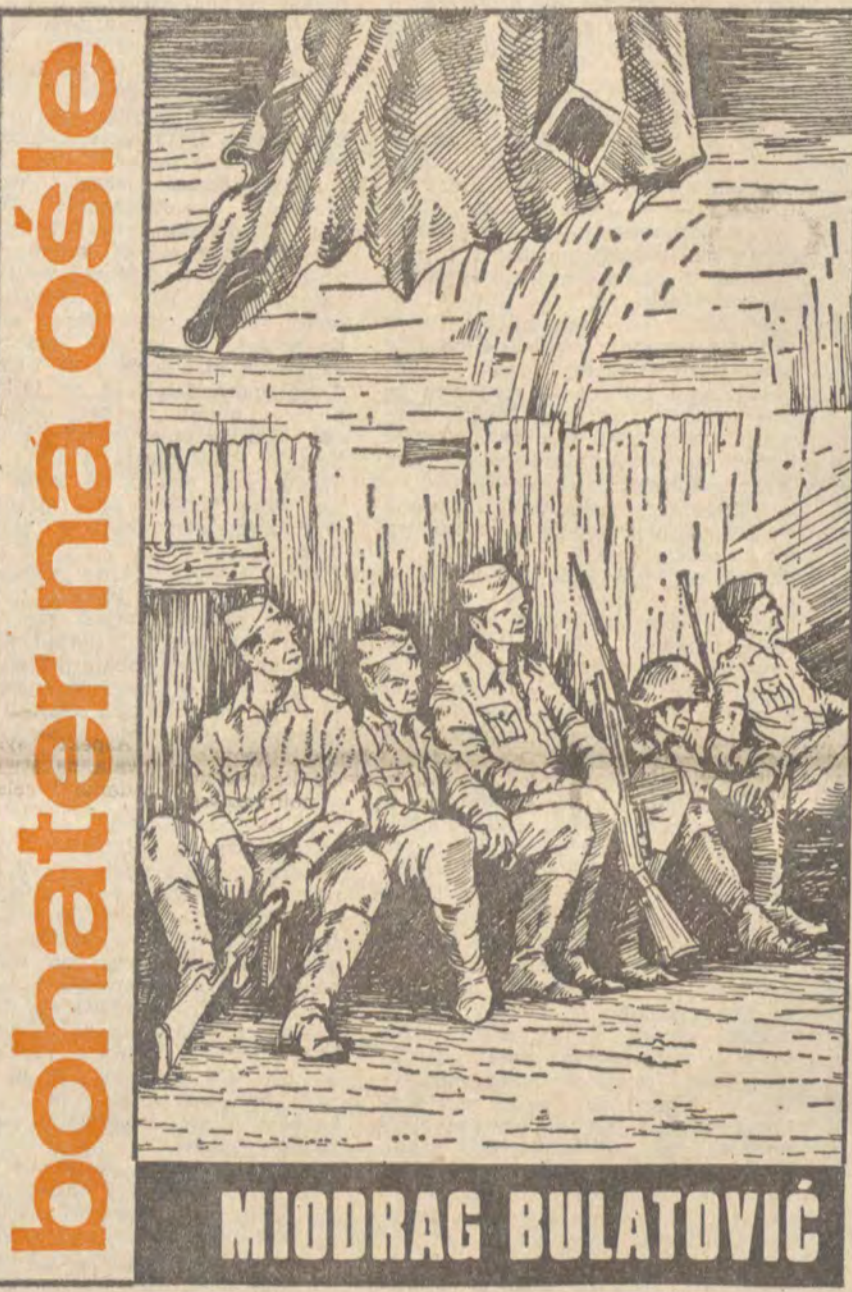
— Chyba masz na myśli odwagę...

— Pomiędzy prawdziwą odwagą i demonstrowaniem odwagi jest pewna różnica — uśmiechnął się pułkownik i przyjaźnie spojrzął na niego zza okularów. — Popatrz na tego typa, jaki napuszony.

Karczmarza pełna była podpiętych żołnierzy, oficerów i cywilów.

Z odcieniem szczerej zadumy w głosie pułkownik Fabiani opowiedział przyjacielowi o życiu karczmarza. Nigdy się nie dowiedziono, kto był jego matką, a tym bardziej ojcem. Znalazł się o świecie pewnego letniego dnia pośrodku rynku, koło studni, owinięty welnianymi pieluchami. Do południa nikt nie chciał go wziąć. Ludzie patrzyli, jak płacze, jak woda na niego przyska, i zastanawiali się tylko, czy też może być. Właśnie gdy doszli do wniosku, że najprawdopodobniej została go tu trupa cyrkowców i jeszcze przed świtem ulotniła się w nieznanym kierunku, nadbiegł pop Vukid i posprzeczawszy się z hodzą, który też zamierzał zająć się podzutektem, wziął go do domu. Prawosławny nosal, z brodą spadającą na piersi, wybrał dla podzutekta dziwne i rzadkie imię Gruban. Nad nazwiskiem głowiono się aż do nocy. Pop medytował: Ivanović, Petrović, Pavlović... lecz wszystkie te nazwiska, łącznie z jego własnym, były nadto zwyczajne. Pop wygrał tej nocy w karty i upiwszy się jak szewc, znielacka oznajmił, że Gruban, który plakał obok zbitej na kwaśne jabłko popadii, będzie nosił również niepospolite nazwisko: Malić.

(cdn)
Przełożyła:
DANUTA
CIRLIĆ-STRASZYŃSKA



Rys. J. Szymański — Glanc

Dziewczyna palec wskazujący skrzyżowała z wargami, po czym pokazała kapralowi tegoż człowieka z podkrążonymi oczyma, który ciężko dysząc pił wodę ze studni.

— *Spia, Pietro* — szepnęła. — *Spieg*.

— Pietro nie milczy — powiedział kapral. — Pietro kocha.

— Szpieg otarł twarz, wprawnym spojrzeniem otaksował dziewczynę i zmieszanego kaprala i poszedł w stronę Komendy. Pułkownik spostrzegł, jak gestykulując rozmawia z wartownikiem obok czołgu, i zasłonił twarz firanką. Brzydził się tego dychwaczego, niezgrabnego, a tak pożytecznego Mustafy Agicia, naczelnika poczty, zawodowego donosiela sprzed wojny, i starał się przebywać z nim tylko tyle, ile wymagała sprawa.

— Marika — powiedział kapral i rozłożył ręce. — Marika *mia*...

— *Domani* — powiedziała dziewczyna i uniósłszy dzban, oszalałając co zakofała się w biodrach.

Pietrowi krew nabiegła do skroni. Poszedłby za nią, gdyby nie ugięły się pod nim kolana.

— Marika, Pietro nie ma faszysta. Pietro może komunista — szepnął kapral, a spostrzegłszy, że w ten sposób też nie zdołał jej zatrzymać, pobiegł za nią. — Ja może być komunista...

— I jeszcze się tym chwaliś, mój biedaku — szepnęła pobłażliwie dziewczyna wymieniając śmiało spojrzenie z wyższym oficerem, który niechętnie ją minął.

lu. Za niską masz rangę, żebyś jej się spodobał. Gdybyś chociaż był kapitanem, jak Brambilla, albo majorem, jak Peduto... Patrz, jak traciś dla niej głowę już od miesiąca, jak wycekujeś na nią, zachodzisz jej drogę, nawet po serbsku zaczęłaś się dla niej ucyć. Jeżeli się nie uspokoisz i nie zrezygnujesz z Mariki, przeniosę cię stąd, żeby ci się odechciało uganiać za czarnogórskimi kurkami. Jak śmiesz, diabelski karle, tak za nią łazić wiedząc, że jest oficjalną narzeczoną twojego dowódcy, kapitana Vittorio, który ją niekłamnie wielbi.

Zresztą kapitan, jeszcze dziś wieczorem, jakkolwiek by mu to ciężko przyszło, ustąpi pułkownikowi Allegretti czarnogórskiego aniola o jedrnej pupce. Jak widzisz, mój mały, nie masz żadnych widoków ani dziś, ani jutro, a już najmniej pojutrze.

Straciwszy Marikę z oczu, pułkownik ujrzał, jak Pietro, przynębiony i złamany, podszedł do studni i bez namysłu podstawiał wychudłą twarz pod kran. Skropił się wodą, nieco ochłodził i ruszył za nią, przelazł przez rynek. Nie zastanawiał się długo w której z licznych knajpek zakotwiczyć. Wszedł do tej z czerwonym napisem na kawałku deski:

NAJMONIEJSZA RAKIJA I
„INNE RZECZY”

Pietro zwał się na krzesło przy pierwszym wolnym stole. Spojrzął na właściciela. Był to drobny, szczupły mężczyzna z wąskimi ramionami i

1) W sercu mym odradza się sen złoty...

2) Moja dziewczyna z Bolonii...

3) Pracować.

4) Jutro.

5) Kapralu.

6) Zabieć, zamordować.

7) Sardynczyk.

8) Żołnierz.

RADKO PYTLIK

NARODZINY WOJAKA SZWEJKA



Jarosław Haszke

Dwudziestego grudnia 1920 roku Jarosław Haszke wrócił do Pragi z wojennej, burzliwej wędrówki. Fragmenty książki, Radko Pytlika, które poniżej publikujemy mówią o tym jak powstała głośna opowieść o dobrym wojaku Szwajku.

Od pierwszego tygodnia pobytu w Pradze Haszke jest znówu dawnym wiołczką. Przenosi się z miejsca na miejsce, do hotelu do wynajętego pokoju w Żółtym, Szura nie żniósł jednak gospodyni i przy pierwszej okazji dostaje wymówienie z powodu nieplacenia komornego. W najgorszej chwili ratuje ich kompan, anarchista i przemysłowiec Franta Sauer. Zabiera ich do swego mieszkania na Żółtym.

Co rano chodzi na targ po zakupy. Najczęściej w bamboszach, z rozpętanym kłopotem koszu, w starym kapeluszu na głowie. Gdy tylko baby na targu ujrzą jego kosa, już się uśmiechają. Pan literat ma dla każdego słowa uznania, braj i nadpsuta włoszczyzna, byle tylko sprzedawca nie miał straci. Wstępował na jednego do knajpki, a potem już zasiadał do pisania albo razem z Frantą Sauerem zajmował się planami wydawniczymi.

Otwiera się ostatni rozdział twórczej działalności Haszki. Razem z Sauerem wydawał we wspólnym wydawnictwie, książkę „Trzej mężczyźni i rekł”. Zaraz potem Haszke przygotowuje drugą książkę, która ma wychodzić w odcinkach w „Trybunie”. Tylko że za współpracę z „Trybuną” trzeba było zapłacić. Publiczność chce koniecznie słyszeć o powiadaniu naczelnego świadka o bestialstwach czerwonych komisarzy.

Ala zamiast opisu bestialstw znajdujemy tu potulne, humorystyczne ironiczne opowiadania o kłopotach, które autor jako komendant miasta, miał z dowódcą Tawerskiego Pułku Konnego Jerzymowem.

Bugulmy został pod wpływem cygańskiego mitu mimo woli utracony ze swą najlepszą postacią literacką — z dobrym wojakiem Szwajkiem. Po sukcesie cyklu bugulmowskiego Haszke przyjmuje zaliczkę na dalsze, tym razem już czysto szwejkowskie przygody: Szwajka w bolszewickim dla wydawcy Szwajcego oraz Szwajka na świętej Rusi dla Alojzego Hatiny itd.

Nieomylnym instynktem artysty wyczuwa, że nie może kierować się jedynie żądnią sensacji, ale krótkotrwałym zainteresowaniem publiczności. Musi nakreślić los czeskiego żołnierza od samego początku, od zamachu w Sarajewie, kiedy to zaczęła się dziejowa próba siły narodów i ludzkich charakterów.

Kiedy dochodzi do dna nędzy, beznadziejności i rozpacz, kiedy nie chce mu się już żyć — jego ostatnią nadzieją staje się wizja literacka — dobry wojak Szwajka. Aleksandra Lwowna wspomina:

„Kiedyś pod koniec lutego przyszli z Sauerem do domu w doskonałym nastroju. Śmiali się, ścisali i Jarosław oświadczył, że wpadł na pomysł. Będzie pisał o wojaku Szwajku. Nie wiedziałam, że o Szwajku pisał już przed wojną i podczas wojny. Powiedział mi to dopiero teraz, ale zaraz sprostował, że to będzie coś zupełnie innego, że to będzie prawdziwa literatura.

— Wymięcie — mówił — tych wszystkich idiotów i jednocześnie pokaże, jaka jest nasza prawdziwa natura i co potrafili.

Zaczeli od tego, że posłali po piwo i porządnie się upili. Następnego dnia do południa spali, po południu Jarosław zaczął pisać, a Sauer chodził po piwo. Jarosław pisał bardzo szybko i od razu na czysto, a kiedy bolała go ręka, dyktował Sauerowi. Oba się przy tym wspaniale bawili, nawet o piwie zapomnieli. Piali przez całą noc.

Nareszcie czuł, że napisze coś, co go wydzignie, co mu przyniesie spokój, szacunek u przyjaciół i respekt u wrogów, a w końcu może i dobrobyt.

Nie dowierza zachłannym wydawcom i drukarzom dzieło w zeszytach, sam, jedynie z Frantą Sauerem.

Potrzućmy mocnego finansowego wspólnika. W pewnej winiarni na Starym Mieście spotkali braci Friszów, zamożnych kupców, właścicieli sklepu z sukniem. Już się zdawało, że interes ubity, o baj wydawcy idą wybrać sobie materiał na ubranie jako zadatek na honorarium, ale transakcja nie dochodzi do skutku. Wobec tego skapowali jako wspólników Antoniego Czernaka, właściciela biura pośrednictwa nieruchomości i fotografa na Żółtym, oraz brata Sauer, Arnostza, właściciela zakładu blacharskiego, w którego wzmówili, że na literaturę można łatwo zrobić pieniądze.

Wszystkie okoliczności świadczą o tym, że i teraz Haszke nie miał zamiaru tworzyć literatury poważnej w sensie estetycznym.

Szwajka miał być w założeniu masową lekturą rozrywkową.

Dlatego też autor wybiera formę taniego wydania zeszytowego, który konkuruje z rozchwytywanymi westernami i powieściami przygodowymi, wydawanymi u Szwajcego.

Bulwarowym stylem reklamują swoje dzieło na krzyżach żółtych plakiet, który pojawia się w oknach restauracji i na żółtych narożnikach.

Zaden z obu ówczesnych wydawców nie przypuszczał wtedy, iż rzeczywistość daleko prześcignie przesadne reklamowe slogan.

Oficjalni księgarze powitali niezwykły utwór literacki z jawną nieufnością. Wydawca Weinfurter odrzucił propozycję przyjęcia książki do sprzedaży tymi słowami: „Z taką ordynarną literaturą, której celem jest wychowywanie zamiast inteligencji narodu, postawiam i ehamów, nie chcemy mieć nic wspólnego, nie chcemy kłamać imienia naszej firmy. To jest literatura dla komunistów, a nie dla Czechów”.

Niechętnie przyjęcie przez czeladnych księgarzy nie zraziło Haszki, przeciwnie, obudziło w nim stary buntowniczy duch. W gospodzie „Na Smetance” przedwniczy na II Zjeździe Stronnictwa Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa, na którym dowodził, że i w Republice istnieje odpowiedni grunt dla pamfletu i satyry.

Pracuje nad Szwajkiem, a jednocześnie nawiązuje kontakt z prasą lewaków. W ostrych satyrach atakuje stosunki w Republice, tak samo jak przed wojną w Austrii. Szczególnie krytykuje pozostałość austriackiego sposobu myślenia w szeregach nowo upieczonych urzędników i armii.

Obok politycznej umotywowanej nieufności społeczeństwo republikańskie miało zastrzeżenia co do wulgaryzmu, których pełno było w Szwajku. Ale właśnie ten szokujący język stał się fundamentem sławy Szwajki. Haszke broni się przed atakami, odwołuje

się do szczerości i prawdziwości wyrazu, i zarzuca fałszywym kaznodziejom obłudę. Na szorstki i szczerzy charakter dzieła wpłynęła przecież publiczność, dla której było przeznaczone. Sauer wspomina, że najgorzej przyjęli książkę weterani i inwalidzi, którzy w sceptycznej ironii Szwajki znajdowali odbicie własnych przeżyć.

Wskutek tych okoliczności Szwajka nie trafił do rąk czytelników normalnym sposobem i trzeba było jakoś utworzyć mu drogę. Autor i wydawca zdecydowali się zatem na długie, kilkudniowe wycieczki agitacyjne po praskich knajpach i winiarniach, gdzie propagują sławę utworu i jego autora.

Młody poeta generacji proletariackiej Iwan Suk pełnił w tej dziwnej spółce rolę sekretarza i kasjera. Jednakże głównym jego zajęciem było szukanie autora i wydawcy po różnych karczmach.

Haszke często oświadczał, że musi pić, żeby mu głowa myślała. Alkoholem jednak nie był dla niego inspiracją, tylko narkotykiem, który odpędzał ataki melancholii. Znaczenie ważniejszy dla powstania dzieła był mit cyganerii, zabawa w knajpie, w której znajdował bezpośrednie impulsy do twórczości.

Jak wszystkie postaci jego utworów, miał i Szwajka swoją ulubioną gospodę. Bognie losu wyznaczyły mu małą knajpkę na Żółtym, „U Kamenacza”, której właściciel Karol Sznor był awanturnikiem, obieżysławiał i wesółm kompanem od kieliszka.

W zbiorach Zdeny Anczika zachował się cenny dokument, autentyczne opowiadanie Sznoara, które dokładnie oddaje konkretne warunki, w jakich powstawały, były wydawane i ekspediovane „Przygody dobrego wojaka Szwajki”. Jest to naiwne podanie epilog praskiego knajpiarskiego mitu Haszki. Ponieważ chodzi o kuriozum w literaturze światowej, cytujemy obszerniejszy urywek:

„Jako że moim powołaniem było prowadzenie restauracji przejąłem małą knajpkę na Żółtym naprzeciwko Bałi. Był to lokalik o trzech stołach. W piwnicy miałem 4 beczki piwa po 50 litrów a w bufecie i butelkę rumu i 1 kg serdelków stojących w kieliszach i serki. Naprzeciwko mojej restauracji po drugiej stronie ulicy na rogu mieszkał na drugim piętrze Franta Sauer ze swoją siostrą. W jednym pokoju swego mieszkania ulokowali naszego bohatera Jarę Haszka z żoną panią Szureńką tak że moi najbliżsi goście byli bardzo blisko.

Podniosłem roletę i wystawiłem towar żeby każdy wiedział że tu jest lokalik jak należy. Świeże serdelki mocno pachnące serki dobrze ukuszone ogórki i pieknie wypolerowana butelka rumu z wyciętą w dymnym napisem oryginalny Rum Jamajka (z naprzeciwka od pana Paroubka). Było to widać nawet z drugiej strony ulicy bo okno miałem duże i dużo miejsca na wystawę. Czekam na gości i rzeczywiście jakby cudem jakimś wchodził moi najlepsi goście, których nigdy nie żyć będą nie zapomnę: Haszke z żoną Szureńką i Franta Sauerów. Na moje pełne szacunku powitanie odpowiedział Haszke:

— Kochany Karolu ja moja żona i Franta postanowiliśmy zgodnie że będziemy cię jak najczęściej odwiedzać. Prawda Franto po co chodzisz daleko kiedy mamy cię blisko (wtem ujrzał wystawioną butelkę rumu) a w ogóle naley nam wszystkim czworgu (jako czwartej miał na myśli mnie, był w ogóle szczodry i pamiętał o swoich bliźnich) oblać się to.

Otworzyłem rum i naleyśmy czterem kieliszki po i koronie sztuksa. Kiedyś wypili Franta powiedział:

— Towar nasz pierwszorzędny rum jest doskonały naley jeszcze jedną kolejkę na mój rachunek.

Znowu 4 rumy poszły.

— A teraz na rachunek mój żony. Ale ona już nie chce więc tylko 3 rumy.

No a potem naley jeszcze 3 na swoje konto. Potem wreszcie usiedli i Haszke zaczął podać piwo i po dwa serdelki z cebulą i oetem dla każdego. Prędko polecałem do stróżki po cebule i oet a potem jeszcze kazali podać serki i piwo. Pani Malżonka taktownie wstała i poegnawszy Jarosława słodkim całusem wyszła upominając go by przyszedł w czas na kolację chociaż było pół do jedenastej przed południem (już go znała). Kiedy poszła odezwał się Haszke:

— Karolu jak widzisz jesteście moimi pierwszymi gośćmi muszę was odpowiednio cenić masz tu 12 koron za te pierwsze 4 rumy a i kcz = 12 kcz. A te resztę zapisz na kredyt gdyż niedawno jest chwila gdy wyjdzie pierwszy zeszyt „Dobrego wojaka Szwajki” a ty będziesz pierwszy który otrzyma 200 egzemplarzy pierwszego zeszytu — będziesz je sprzedawać po 2 korony za sztukę tak że będziesz miał 400 kcz jak je sprzedasz i te pieniądze będą twoje i daj nam jeszcze 2 rumy dziś będę pisał aż do rana a potem do Pragi.

Spojrzałem na okno gdzie moje zapasy zmalały i liczyłem — 6 serdelków z cebulą i oetem 6 serdelków 3 duże ogórki 12 bułek 9 kufli piwa i pół butelki rumu poszło a za to wszystko utargowałem 12 kcz reszta na książkę. Po chwili się blade ale gdy mi się przypomniało że dostanę 200 zeszytów „Dobry wojak Szwajka” za darmo i co za to utarguję będzie moje odetchnięcie. Od czasu do czasu zjawiali się jacyś goście przyszedli zamiatacz na piwo i serrek potem jakiś gość z karczmą naprzeciwko do znów jakiś majster z warsztatu stróż z sąsiedniego domu i jakaś pannica która wracała z nocnej zmiany.

Wieczór minął niezgorzej i utargowałem parę koron tak że rano stróż mógł pojechać po dwie beczki piwa do smichovskiego browaru własnym wózkiem (bo w tym czasie było niemal sztuka dostać w browarze piwo z dostawą kołmi). I tak było co dzień. Dług wzrastał interes siedzi coraz gorzej i ponieważ zdawało mi się że Haszke i Franta chodzą marokotni to spytałem:

— Powiedz Franta jak tam sprawy stoja.

— Kochany przyjacielu — odpowiada Franta — sytuacja wygląda tak: wczoraj byłem w lombardzie i zastawiłem palto Haszki. Wiesz jest ciepło i Haszke się bał, żeby go mole nie zaryły. Krawcowi dał, właściwie ma dać 15 koron żeby to palto można było zanieść do lombardu i tam mi za nie dali 30 koron. Zaraz żęmy je przepili i teraz on kombinuje gdzie by kogo znowu naciągnąć. Pierwszą część „Szwajki” jest już prawie gotowa. Jest to wspaniale i żeby tylko to skończył. Wiesz on bez rumu i papierosów słowa nie napisze ale bąd się nie musisz jak to wyjdzie będzie z tego straszna heca wśród panów wojskowych i tych większych pałaców bo on bije w nich bez litości a wielu jest jeszcze tu i chcieliby u nas w Republice znowu coś robić ale już niedługo nasza cierpliwość się skończy. A teraz chodź do bufetu już dość ci tego napotłem a jest całkiem możliwe że na drugi tydzień oddamy nasze dzieło (powiedział nasze) do drukarni a potem wszyscy będziemy mieli forsz. Haszkowi nie odmawiaj i naley nam wszystko co będzie chciał.

Przychodzili moi goście byli to przeważnie znajomi Haszki Slawetinsky (Kudiej) Suk bracia Marszakowie malarz Novak malarz Longen-Krzdlo itd. i wszyscy słuchali Haszki który im mówił że ma już prawie gotowy pierwszy tom „Dobry wojak Szwajka” ale że potrzebuje większej gotówki żeby móc to dać do druku ale kto ma tyle pieniędzy.

— Ja wiem chłopcy że gdybyście mieli tyle pieniędzy to bez namysłu włożylibyście je w ten interes ale wiem, że wszyscy jesteście zadzi i że się w ogóle jakos trzymamy. Coś mi wpadło na myśl chłopcy i może jutro ubiję interes. Karolu naley mi rumu i tych 100 zeszytów dostaniesz. Moje słowo!

— Ale Jarosłku przecież obiecałeś dać Karolowi 200 zeszytów — mówi Franta.

— Masz rację więc mu damy 200 zeszytów on też musi żyć i daj mi jeszcze rumu.

Nagle Haszke zrywa się łapie za kapelusz i pędzi na ulicę ale po minucie wraca i mówi:

— Nie na sensu żębym szedł do niego bo jego pał będzie w domu a ona tego nie zrozumie. Franta chodź do wychodka co ci powiem a później moi przyjaciele dowiedzą się tego wszyscy. A teraz Karolu wszystkim po kieliszku rumu albowiem twój dzień się zbliża.

A potem wyszli i goście też. Po chwili utarg i wiedziałem już z pewnością że do końca września mam czynsz zapłacony i na drugi czynsz już się nie zdobędę i będę żył na kredyt.

Następnego dnia Franta przyszedł triumfalnie dopiero o jedenastej i powiedział:

— Po południu idziemy podpisać umowę i jutro oddajemy do druku pierwszą część „Dobrego wojaka Szwajki”.

I wyciągnął koronę i wypili rum za gotówkę. To był dla mnie naprawdę znak że coś się zbliża. Tego dnia w ogóle nie przyszedł aż następnego dnia przyszedł jego żona Szureńka zaplakała i rozdierającym głosem mi mówi że Jarosłzek i Franta od wczoraj nie pokazali się w domu że ma dla Jarosłki przygotowane zacierki (on najmlszy przepada za zacierkami chociaż mnie zawsze dowodził że się nimi już przejadł). Uspokoiłem ją że chyba Pan Literat gdzieś w ustroniu pisze o Szwajku ale ona w to nie wierzy przecież on prawie wcale nie pisze — jak w nocy wraca do domu to mu jest zwykle niedobrze a w ogóle Jarosłzek ma jak mowi jedną chorobę a wszystkie są śmiertelne a ona go tak bardzo kocha. Dalem jej na drogę jedną słodką i dwa serdelki z musztardą byle tylko już posła bo okropnie plakała. Aż tu o dziesiątej wieczorem przyjeżdża fiakrem Haszke i Sauer. Z pomocą gości przytłaskaliśmy ich do bufetu i popiliśmy ich gorzką czarną kawą i wodą sodową. O dziwo dorozkarcz nawet nie chciał pieniędzy mówił że już mu zapłacił. Później dowiedzieliśmy się że pan Czernak wszystko zapłacił i w ogóle z nimi pił a na moje pytanie czy też o trzymali coś w gotówce nie mogliem z niego nic pozytywnego wydobyć i z tego wynioskow-

łem że go Haszke i Franta do brze obrobili. Upłynęło znów trochę czasu i pewnego dnia o 9 rano przyleciał Franta z paczką cisnął ją na stół i powiedział:

— Karolu nareszcie i dla ciebie świata. Masz tu tymczasem 150 zeszytów pierwszego numeru „Dobry wojak Szwajka” bo ciągle jeszcze nie idzie jak trzeba nby względem pieniędzy na drukarnie ale my ci słowa dotrzymamy i żębym nie zapomnieli masz posłać Haszkowi 3 porcje flaków sześć bułek 3 wody sodowe 20 papierosów i 1/2 litra rumu. Wieczorem Jarę ci to ureguluję.

Co miałem robić. Dalem mu to wszystko bo i tak byłem już bankrut nieodwołalny i dodałem że „Szwajkiem” albo stanę na nogi albo padnę i że potrzebuję pieniędzy na piwo bo jak nie jutro interes zamknę. Franta obiecał widział ostatnią beczkę napoczętą w piwnicy z zeschniętymi serdelkami z 10 smierdzących serków i 1/2 butelki rumu. No zupełnie katastrofa. Zeszyty wzięłem i zaraz przeczytałem i bardzo mi się to podobało. 20 sztuk rozłożyłem na wystawie żeby wszyscy przechodnie widzieli że już „Dobry wojak Szwajka” wyszedł i miałem już przygotowany na sztywnym kartonie napis: „Zobaczcie Neapol i umrzeć czyta” „Dobry wojak Szwajka” znaczy żyć” i takie różne powiedzonka tak że każdy kto obok przechodził musiał to zauważyć. I rzeczywiście tego dnia spiliłem gościom i przechodniom 20 zeszytów za 40 koron gotówką i trochę odetchnałem. Wieczorem znowu odwiedził mnie Franta niosąc mi 100 kcz mówił że to te pozostałe 50 zeszytów cośmy ci byli jeszcze winni i że Jarosłzek pisze w domu dalszy ciąg ale później dowiedziałem się od pocztowej siostry Franka że Haszke miał podarę i że w ogóle się urządził dopiero dziś trochę wytrzeźwiał i że mu gotuję żupę z czosnku i że już znów ma puski w kieszeni i że się dziś wybiera na łowy. Po południu przyszedł obal sumy i zwarzeni wypili po jednym piwie i po jednym rumie i zaraz spytali czy sprzedawcy „Szwajki” nie zostawili tu pieniędzy za zeszyty ponieważ jak mi wyjaśnił Franta dał swoim znajomym których spotykał na Żółtym kiedy laził do knajpy do knajpy po 50 zeszytów i 1 zeszyt za darmo pod warunkiem że je będą sprzedawali po 2 kcz swoim znajomym i oddadzą po 150 kcz tu w mojej gospodzie razem z pozostałymi nie sprzedanymi zeszytami a tu jest spis nazwisk tych wszystkich ludzi.

— Tak — mówię — tu mam pieniądze od naleycego Karolowi 25 zeszytów do zwrotu a za 15 gotówką 22 kcz 50 h i dalem im te pieniądze tylko sobie odliczyłem z 2 piwa i 2 rumy.

— Ale z nich idioci — powiada Haszke.

A Franta na to:

— Słuchaj Jarę myśmym im dali do sprzedaży te zeszyty pod warunkiem że do 10 dni je rozprzedażą więc trudna rada jest ich według spisu 20 a to jest 1000 zeszytów więc poczekajmy a ty Karolu te zwroczone zeszyty schowaj. Wtem wchodzi znajomy Fryderyk Marszak i niesie zeszyty w ręku a widząc że zna parę powiada:

— Chłopcy macie tu 18 zeszytów do zwrotu a za 32 zeszyty gotówką.

— Hura — ryknął Jarę — daj nam wszystkim po rumie zobaczcie że to pójdzie przecież ja mam cały majątek w zeszytach i daj nam na drogę jeszcze po jednym a ty Frycek chodź z nami pójdzmy zbierać forsz. Zabrali się i poszli. Teraz już na pewno wiedziałem, że jest źle że z trudem wydestanę pieniądze za przepisy i przejezony towar. Było tu u mnie jak w wyprzedzanym sklepie że 150 zeszytów „Dobry wojak Szwajka” miałem wciąć jeszcze ponad 110 sztuk zacząłem w to pakować serdelki i serki. Od sprzedawców miałem zwrot 700 zeszytów które Haszke odbierał po 30 sztuk i na mieście sprzedawał je za gotówkę którą jak nie przepiał. Aż pewnego dnia zabrali ode mnie wszystkie zeszyty że podobno rozprowadzą je do większych miast w Republice no i zaczęło się ruszać. W październiku wyszedł drugi i trzeci zeszyt „Dobry wojak Szwajka”. Ludzie którzy nie czytali pierwszego zeszytu zaczęli o niego pytać. Powiedziałem im o tym a oni zapewniłi mnie że pierwszy zeszyt zostanie jeszcze raz wydany a w ogóle Jarę Haszke i Franta byli przyzwyczajeni ubrani i powodzili im się lepiej. O mnie też nie zapomnieli i dali mi coś gotówką ale mój kwartał czynszowy się zbliżał więcem to uroczyście zamknął to znaczy wszystko co się wypilo i moi goście po raz ostatni się napił u mnie z Haszkim i Frantą. „Dobry wojak Szwajka” torował sobie zwycięską drogę w świat.

(cdn)

Za tydzień: WOJAK SZWEJK CZYLI GENIALNY IDIOTA.